

# ÔDSKOCZNIA ACHIMA

JEDNOAKTÓWKI  
PO ŚLĄSKU



# ÔDSKOCZNIA ACHIMA

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

WYDAWCY:

**iM!GO**  
PUBLIC RELATIONS



**KATOWICE**  
*dla odmiany*

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA  
**wyborcza**

ÓDSKOCZNIA ACHIMA  
Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:  
Waldemar Szymczyk

Konsultacja języka śląskiego:  
Marcin Melon

Projekt graficzny:  
Mateusz Maleńki  
wykorzystano zdjęcie Adobe Stock

Realizacja wydawnicza:  
Stapis

Skład:  
Andrzej Sobkowski, MAGRAF sp.j., Bydgoszcz

Wszelkie prawa zastrzeżone © Copyright by Imago Public Relations  
oraz Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Katowice 2022

ISBN 978-83-953626-4-4

## SPIS TREŚCI

---

|                                         |            |
|-----------------------------------------|------------|
| <b>RÓŻNE I PODOBNE ZARAZEM</b>          | <b>4</b>   |
| Rafał Czechowski                        |            |
| <b>POD GÓRKĘ</b>                        | <b>5</b>   |
| Ingmar Villqist                         |            |
| <b>PODSUMOWANIE 11. EDYCJI KONKURSU</b> | <b>6</b>   |
| Waldemar Szymczyk                       |            |
| <b>PAN MUZYKA</b>                       | <b>7</b>   |
| Piotr Zaczekowski                       |            |
| <b>ÔDSKOCZNIA ACHIMA</b>                | <b>9</b>   |
| Bożena Donnerstag                       |            |
| <b>KOSMICZNO RAJZA</b>                  | <b>19</b>  |
| Mateusz Czyba                           |            |
| <b>ÔSTATNI ELWER</b>                    | <b>47</b>  |
| Irek Widera                             |            |
| <b>SEKRETNE ŻYWOBYCIE ÔD MELANIE K.</b> | <b>64</b>  |
| Monika Kassner                          |            |
| <b>CIOTKA WICHTA</b>                    | <b>74</b>  |
| KRZYSZTOF KOKOT                         |            |
| <b>RAK</b>                              | <b>90</b>  |
| Aleksander Lubina                       |            |
| <b>CIOTKA TILA</b>                      | <b>101</b> |
| Lidia Michalska                         |            |
| <b>SYNECZEK (MONODRAM)</b>              | <b>109</b> |
| Joanna Sodzawiczny                      |            |
| <b>GAŃBA</b>                            | <b>113</b> |
| Wojciech Szwiec                         |            |
| <b>100 LAT HORSTA POLLOKA</b>           | <b>127</b> |
| Peter Wiescholek                        |            |

---

# RÓŻNE I PODOBNE ZARAZEM

Rafał Czechowski, założyciel Imago Public Relations, organizatora konkursu „Jednoaktówka po śląsku”

Dwunasta edycja naszego konkursu na dramat w jednym akcie napisany po śląsku to edycja zupełnie niejubileuszowa, a jednak w jakiś sposób specjalna. Na powrót normalniejsza niż dwie poprzednie, naznaczone pandemią. Z towarzyszącą konkursowi antologią prac z edycji ubiegłorocznej – jak każe tradycja (bo po tylu latach o tradycji chyba mówić już można).

Trzymacie ją Państwo właśnie w ręku. Jest wystarczająco inna od poprzednich, by ją docenić i wystarczająco podobna, by doceniać ją tym bardziej. Inna nowymi treściami, wynoszącymi śląski język czasem w kosmos (dosłownie! jak w dramacie „Kosmiczno rajza” Mateusza Czyby), a czasem zamykając go w jednej izbie, w hermetycznym gronie członków rodziny *stond*.

Inna oprawą graficzną i parametrami technicznymi. Bardziej jednak podobna, niż różna od swoich poprzedniczek. Przede wszystkim silna jakością tych skondensowanych dramatów – opowieści powstających w wyobraźni Autorów na gruncie ich pasji, poczucia humoru, wrażliwości, a czasem – nierzadko – doświadczeń osobistych lub rodzinnych historii.

Jak zawsze – i tu podobieństwo kolejne – teksty to rozmaite: zabawne, wzruszające, refleksyjne, czasem poruszające. Bogactwo tematyki i stylów wypływa wprost z różnorodności Śląska i jego mieszkańców.

Podobna jest ta antologia do poprzednich – a jakże! – genezą, którą powtarzać warto. Ująłem ją w tomie pierwszym tak oto: „Kiedy ktoś ma dar czy talent idące w parze z entuzjazmem i tym swoistym »chceniem«, które na Śląsku objawia się zapałem do pracy bez jakiegoś szczególnego oglądania się na nagrodę – jest to warte dostrzeżenia. Jeśli dodatkowo w podejmowanym wysiłku potrafi odnaleźć powody do radości i mieć zeń rodzaj satysfakcji potocznie (ale jakże trafnie) nazywany frajdą – jest to warte uznania. Jeśli wreszcie ten dar, pracę i radość oddaje – zgodnie z Polaków narodowym charakterem – na wezwanie, powszechny apel ku wspólnemu dobru – jest to warte podziwu. A jeśli – jak to jest w przypadku autorów jednoaktówek po śląsku (...) – w rezultatach tej pracy i frajdy jest jeszcze fantazja, kreatywność, umiejętność snucia opowieści i budowania napięcia, sprawność posługiwania się słowem i myślenia obrazem – jest to warte uwiecznienia i wydania książki takiej jak ta!”.

Po tuzinie lat od napisania tych słów jedno z licznych podobieństw szczególnie warto wskazać: jednoaktówki nieodmiennie czynią z języka śląskiego środek wyrazu artystycznego i przez to go waloryzują, czyniąc powoli językiem pełnoprawnym nie tylko deklaratywnie czy ambicjonalnie (bo ciągle nie formalnie), ale praktycznie. Słusznie, bardzo słusznie!

Ingmar Villqist, juror konkursu

Chwila, w której zasiądem w fotelu na widowni któregoś z profesjonalnych teatrów i oczekiwać będę z niecierpliwością, aż kurtyna wpierw delikatnie drgnie, potem uniesie się, by pokazać zgromadzonej licznie, prapremierowej publiczności początek jednoaktówki napisanej i granej w języku śląskim, będzie punktem zwrotnym w historii konkursu na napisanie jednoaktówki po śląsku. Życzę tego naszym autorom z całego serca.

Jakiś czas temu dwie osoby do tej pory współpracujące z naszym konkursem zaczęły usilnie mnie namawiać (a twarze miały blade i wystraszone),

żeby skończyć już z tym konkursem albo robić co dwa, trzy lata albo żeby zrobić z tego konkursu teksty kabaretowe po śląsku (słowo honoru!) – żeby było tak śmiesznie po śląsku, żeby były wice.

Wpierw ochłonąłem, a potem pomyślałem – dobra nasza, im bardziej pod górkę, tym lepiej. Zostaną wśród organizatorów tylko ci, którym zależy na naszym konkursie. My pracujemy dalej, przed nami gala, kolejny tom nagrodzonych jednoaktówek, publiczne czytanie wyróżnionych dramatów.

# PODSUMOWANIE 11. EDYCJI KONKURSU

---

Waldemar Szymczyk, juror konkursu

**11. edycja konkursu na „Jednoaktówkę po śląsku” po raz kolejny pokazała, „co godka ślōnsko to nie je yno ańfachowy zort godki staropolskiej”. Laureatami zostali głównie „zawodowcy” – osoby, których nazwiska już pojawiały się we wcześniejszych edycjach konkursu.**

Pierwsze miejsce zajęła Bożena Donnerstag za jednoaktówkę „Ôdskocznia Achima”. To praca pokazująca inny Śląsk, niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Tytułowy starzik nie spędza wolnego czasu siedząc na rycdze, tylko chodzi do Akademii Muzycznej posłuchać muzyki klasycznej.

Drugie miejsce w konkursie zajął Mateusz Czyba za sztukę „Kosmiczno rajza”. To opowieść o perypetiach trójki bohaterów podczas wyprawy na... Marsa. Autor chciał w ten sposób złożyć hołd kosmicznej wyobraźni twórców z Grupy Janowskiej.

Trzecie miejsce zajęła sztuka Irka Widery „Ôstatni elwer”. Opowiada o fusbalyrzu, co godo i dziennikarze z Warszawy mają z tym problem.

Jury wyróżniło także siedmioro autorów jednoaktówek: Monikę Kassner za „Sekretne żywobyocie ôd Melanie K.”, Krzysztofa Kokota – „Ciotka Wichta”, Aleksandra Lubinę – „Rak”, Lidię Michalską – „Ciotka Tila”, Joannę Sodzawiczny – „Syneczek”, Wojciecha Szwieca – „Gańba” oraz Petera Wiescholka – „100 lat Horsta Polloka”.

W jury konkursu zasiadali: Mirosław Neinert, dyrektor Teatru Korez, Waldemar Szymczyk z agencji Imago Public Relations, Ingmar Villqist, pomysłodawca konkursu oraz Piotr Zaczkowski, dyrektor Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów.

Piotr Zaczkowski, juror konkursu

„Ódskocznia Achima” Bożeny Donnerstag dzieje się w restauracji katowickiej Akademii Muzycznej. Za bufetem czynią swoje Paula i Alan i pewno nie zdarzyłoby się im nic nadzwyczajnego, gdyby nie ponad siedemdziesięcioletni Achim, który przyszedł posłuchać muzyki, przyszedł usłyszeć własną pamięć.

Studenci, jak co dzień, w salach i salkach, powyżej restauracji, ćwiczą na przeróżnych, smyczkowych, klawiszowych i dętych instrumentach. Mieszają się dźwięki. Paula i Alan tego nie zauważają. Krzątają się przy kawie, kanapkach i ciastkach. Achim siądzie przy ostatnim stole. Rozwinie się akcja, niewiele trzeba, aby – jak w życiu – zawiązało się coś między ludźmi, których tydzień temu lub jeszcze wczoraj nic nie łączyło. Niewiele trzeba, aby Paula i Alan zrozumieli, że muzyka może być ódskoczną od życia – i nawet czymś więcej. Cała familia Achima muzykowała, już nikt z familii nie żyje. Achim zamyka oczy, słyszy, jak grają – widzi, jak bliscy grają. I widzi dzieciństwo, i widzi siebie. Można pomarzyć, można podumać.

Są pamięciienne, przytomne – są nocne, zaspane, koszmarne i nie do odespania. Są dotkli-

we, doskwierające, nie do zniesienia, natrętne, a czasem wstrętne, mówiące do nas w różnych językach i bezgraniczne, a nawet nie z tego świata. Bywają kameralne, łagodne i wyciszone, głośnie i pełne krzyków, samolubne lub pełne empatii, pokorne, bezradne, niektóre niepewne, inne – wręcz przeciwnie – zbyt pewne siebie. Otwarte jak rana, nie dające ulgi albo same ulgą będące.

Często wiele pamięci potyka się o zmęczenie. Ile bólu mieści się pod powiekami i jak wielu ludzi się słyszy? Jak wielu ludzi się widzi? Muzyka jest dla Achima ódskoczną, ale nie tyle oderwaniem, ile wytrwałą, spokojną pracą. Trzeba zamknąć oczy i raz jeszcze odpracować życie, wszystko co przyniosło, wszystko co odebrało. Pamięć przyszła w samą porę, da się w niej pobyc, a nawet odpocząć.

W ostatniej scenie Paula i Alan daremnie oczekują Achima. Wybiła jedenasta, „zygor szło sztalować wedle niego”, lecz nie przychodzi. Młodzi wpatrują się w drzwi. Zakończenie pozostaje poza tekstem. Najbardziej wiernym przyjaciелеm jest człowiek, który umiera. Śmierci – jak życiu – można pomóc pamięcią.





# ÔDSKOCZNIA ACHIMA

Bożena Donnerstag

GRAJÔM:

ACHIM emeryt 75+,

ALAN kelner kole 20 lot

PAULA kelnerka kole 20 lot

*Akcjo dzieje się we katowickij Akadymii Muzycznyj, na dole, tam kaj je restera.  
Bez cõłki czos słychać jak grajôm bele jake instrumynty w tle.*

BINA I

*Muzyczno Akadymio we Katowicach. W resterze ôsprowiajôm ze sobôm kelner  
Alan i kelnerka Paula, kukajôm bez szyba w dźwiyrzach. Cõłki czos słychać jak  
kajsik na wiyrchu grajôm.*

ALAN:

Te, Paula, tyś widziała tego chopa, kiery dziyń w dziyń sam przilazi pod Akadymio i siado na ławce tam pod tym drzewym?

PAULA:

No toć, jak żech ôstatnie dni łazioła do roboty, to ôn mi nawet godõł „Szczyńść Boże”... Fto terozki tak prawi „Szczyńść Boże...”? Nawet moja babka tak niy godajôm...

ALAN:

Ciekawe fto to je... ôn dycki ô tyj samyj godzinie na ty ławce siado... cosik mamrocze do sia... Można to jakosik mafio je i ôn ôbserwuje plac... Planuje napadnõć na kogoś!

PAULA:

Tyś je richtig gupi, Alan... Mafio w Katowicach, ja, uhmmm. Pryndzyj to bydzie jaki emeryt, kierymu sie fest mierznie, niy mo co robić, to siedzi na świyżym łufcie.

ALAN:

Terozki, Paula, to ty gupio prawisz. Tyn świeży luft w cyntrum Katowic to jest tak samo możliwy jak i mafio!

PAULA:

No dobra, dobra... koniec godki, bo sam już czekajōm klienty na kawa, leć do nich, a jo włōncza kafemaszyna. I te kołoczki wyłoża na blat.

## BINA II

*Starszy chop włazi do restery. Rozglōndo się, siado przy ôstatnim stoliku.  
Zamyko ôczy. Paula podchodzi ku niemu.*

PAULA:

Dziyń dobry, co byście chcieli zamówić?

*Chop siedzi z zawartymi ôczami i nic niy godo*

PAULA:

Proszu Wos, tukej nie śmiycie drzymać, idźcie sie do dom legnōnc.

*Kelnerka sztucho leko chopa, ôn ôtwiyo ôczy.*

ACHIM:

Dziółszka, jo niy śpia przeca. Jo suchōm muzyki, ktosik tak piyknie tukej gro... słyszysz? A jak sie mo ôczy zawarte, to lepij się sucho, sprōbuj!

*Paula odruchowo zamyka ôczy, stoi i sucho. Nagle je ôtwiyo.*

PAULA:

Co mi tukej gowa zawracacie? Przeca cōłki dziyń grajōm studynty, jak to w Akadymii Muzycznyj. Jo już ani tego niy słysza. Chcieliście cosik zamówić?

ACHIM:

Co za szczynście mosz, dziółszka, że tukej robisz... Durś ci gro muzyka, to take piykne miejsce... Słyszysz teraz tyn klawiyr?

PAULA:

To jo Wom można kawy prziniesia. Biołyj.

*Kelnerka szybko odłazi do baru*

PAULA:

Alan, zrób bioło kawa dło tego starszego chopa, jo mu jōm postawia ze napiwków, ino niych ōn już do mie tak śmiesznie niy godo...

ALAN:

Ale co, ale co? To napad, ja? Godołech, że ōn je z mafii!!!

PAULA:

Ja, napad, na twōj gupi łeb! Zrōb ta kawa i zaniyś mu, bo jo sie go trocha boja.

*Alan robi kawa i idzie do stolika, kaj Achim zaś siedzi z zawartymi ōczami*

ALAN:

Dziyń dobry, tukej kawa dło Wos, ōd firmy gratis.

*Achim mo dali zawarte ōczy i ōdzywo sie do kelnera.*

ACHIM:

Dej mi jeszcze chwila, synek... To je takie piykne...

*Alan stoi i czeko, aż Achim ōtworzy ōczy.*

ACHIM:

Jużech je nazod. Co żeś chcioł, synek, przeca tukej bōła dziolśzka niydowno. Kaj ōna je? To moja kawa?

ALAN:

No, przeca moja kamratka godała z Wami, ale sie niy dogodała i uciykła za bar. Ta kawa to ōd nij jest. A Wy sam niy śpijcie, bo Wos ochrona wyciepnie.

ACHIM:

Przeca jo niy śpia. Jo suchōm jak grajōm.

ALAN:

Aaaaa... A jo myślōł, żeście sōm z jaki mafii i napad planujecie!

ACHIM:

Żodyn Paczino ze mie, ani Brando niy jest. Jo przilaża tukej pod akadymio posłuchać jak studyntry na tych rozmaitych instrumentach pinkolōm, rzym-polōm, niyrozki fałszujōm. Ale to je tako moja odskocznia ōd zycio. A dzisiej mie już telepało, bo wiater, to żech wloz rajn.

ALAN:

No, my Wos z Paulōm widzieli, jak tam siedzicie pod drzewym dziyń w dziyń...

ACHIM:

No, toż widzisz, synek, to choby my sie już znali. Jak cie mianujōm?

ALAN:

Jo jest Alan, tak jak tyn aktor Alan Rickman, mama fest lubiōła tego aktora i jo terozki mōm tak na miano.

ACHIM:

A jo – Achim. Joachim. Niy wiym czamu mie tak mamulka nazwali, ale żech sie już przizwyczajōł, poza tym niy miōłżech nic wtynczos do godki, pra?

ALAN:

No ja, mocie recht. Chcecie kołoczka abo jako klapsznita do tyj kawy?

ACHIM:

Jo zarozki musza iść, tukej dej koleżance gelt za ta kawa, co mi postawiōła i powiydz, coby sie mie niy boła. Jo je ino niyszkodliwy meloman. Jutro zaś wleza, bo chyba cieplij już niy bydzie...

*Achim dopijo kawa i wylazi z Akadymii.*

### BINA III

*Paula wyciyrō szmatōm stoliki i stawio stolki. Do restery włazi Achim, siado do ôstatnigo stolika. Paula poleku podłazi do niego.*

PAULA:

Szczynść Boże! Jo sie Wos wcale niy boja, ino Wy sie tak dziwnie zachowujecie. Co Wom podać?

ACHIM:

Szczynść Boże, dziōszka. A jak Ciebie dali na miano?

PAULA:

Jo żech jest Paula, Paulina.

ACHIM:

Dzisiej sie zamōwia tyj i klapsznita z kyjzōm. A potym sie poōsprowiomy, bo widza, że niy ma terozki ludzi.

PAULA:

To jo zaroz byda nazot.

*Paulina idzie ku barowi.*

PAULA:

Alan, zrób drabko tyj, dej ta żymła z kyjzōm i szałotym. Tyn twōj Achim chce zy mnōm godać. To jo tam chwila kole niego postoja.

ALAN:

Ty sie nic niy nerwuj, Paula, jo żech sam je za barym, a to je przeca zwykły starzik, kiery się nudzi i chce sie z kimś pogodać.

PAULA:

Mom nadzieja! To biera taca i ida do niego.

*Paula podłazi do Achima, kiery zaś siedzi z zawartymi ôczami  
i sucho jak ktosik gro.*

PAULA:

*(stawio taca na stole)* Jeżech! Tukej Wasz tyj i żymła z kyjzōm. Świyżo, dzisiejszo. Bydzie Wom smakować.

ACHIM *(durś z zawartymi ôczami)*:

Wiy, wiy, ale terozki ciini, jeszcze chwila... słyszysz, Paulina, jak piyknie te krzipki grajōm, aż mi kudły na rynkach stojōm...

PAULA:

Jo to każdego dnia słysza, panie Achim, robia tukej już pora miesiyncy, i żech je przizwyczajono, że grajōm i ani tego niy słysza...

ACHIM *(ôtwiero ôczy)*:

Cōż ty godosz, Paulinko, jak możesz godać, że niy słyszysz muzyki? Przeca to jest nojlepsze, co może być: mieć robota w miejscu, kaj durś gro... Codziynnie cosik inkszego. Roz Mozart, roz Bach, a roz Chopin... Dzisioj krzipki, jutro klawiyr, a pojutrze flyjta. To je tako ôdskocznia, ô kiery idzie ino pomarzyć. A Ty to mosz narychtowane, choby na tacy, na kiery prziniosłaś tyj i żymła.

PAULA:

Wiyecie co... a Wy na czymś grocie? Bo tak ô tyj muzyce ôsprowiecie, chobyście byli jakim muzykantym...

ACHIM:

Grom, niy grom... I ja i niy... Ale to poôsprowiōm ci jutro, bo terozki zjym i musza lecieć. Jutro byda! Przida na kołoczka z pudingiym... Swojom drogōm fto to widziōł, coby kołoczki z pudingiym sprzedowali... mamulka robiōła z marmeladōm abo z kyjzōm...

*Achim wylazi z Akadymii.*

*Paula i Alan ôsprowiajôm przy barze. Alan ôbciyro szolki, Paula pucuje lada.*

PAULA:

Wiesz, Alan, cosik w tym je, co tyn pan Achim godali... No wiesz, ô tyj muzyce i ôdskoczni.

ALAN:

No toć, że cosik w tym je! Koždy musi mieć cosik takigo, coby sie dychnōńć. Jo jeżdża na kole i to je moja ôdskocznia.

PAULA:

Jo niy wiyom... tela rzeczy robia... Można ôglōndanie seriali to tyż je ôdskocznia? Abo ôsprowki z kamratkami? Tak sie ino dumōm....

ALAN:

No wiesz, jak to ci sie dowo dychnōńć, to chyba to je twoja ôdskocznia.

PAULA:

Jo sie tak myślała ô tym Achimie, przilazi zowždy ô tyj samyj godzinie, siedzi tyż godzina, a potym sie kajsik uwijo... I mu się podobo jak studynty rzypolōm... Przeca ône niy roz tak fałszujōm, jedyn roz, drugi, trzeci... durś w koło to samo prōbujōm... A jymu sie to richtig podobo. Przeca godōł, że mo sztyjchary na rynkach, ja słyszy muzyka. Można ôn bōł jaki rector ôd muzyki i we szkole robiōł?

ALAN:

Mogiesz go zapytać, bo włazi, ôbocz!

*Achim siado zaś w przy ôstatnim stole, Paula gibko do niego podłazi.*

PAULA:

Szczynść Boże, panie Achimie!

ACHIM:

Szczynść Boże, gryfno dziolśzko! Już mało fto tak się wito...

PAULA:

Wy sie tak witocie, to jo sie dostosowała do was!

ACHIM:

Toż piyknie, piyknie... Cōż to dzisiej studynty grajōm, musza ino posuchać!!

*Achim zawiyro ôczy, ruszo rynkōm choby dyrygowōł.*

ACHIM:

A już wiym co to! To przeca Kilar jest! Znosz Kilara?

PAULA:

No toć! Przeca muzyka do fimów pisōł, a jo ani niy poradza porachować, wiela filmów żech zobezrzała. Bo wycie, filmy to je moja ôdskocznia!

ACHIM:

No ja, każdy musi mieć jakoś, coby niy zgupieć... Prziniyś mi, Paulinko, tego kołoczka z pudingim i kawa ku tymu.

*Paula idzie do baru, szykuje kawa z kołoczkiym i idzie do Achima.  
Siado kole niego.*

PAULA:

Panie Achim, moga sie ô coś Wos zapytać?

ACHIM:

Toż pytej, dziółcha, pytej!

PAULA:

Bo Wy tak tukej przilazicie i suchocie muzyki, wycie nawet co te studynty grajom... Wyście sōm chyba muzykant abo jaki rechtor ôd muzyki, pra? Bo my tak z Alanym kombinowali... Jeszcze żodyn klient niy łaziōł tukej muzyki suchać, każdy ino gibko zjeść, wypić i leci dali, a Wy siedzicie i naprowdy suchocie...

ACHIM:

No ja... dugo by ôsprowiać... Jo niy je ani rechtor, ani muzykant... Wiysz, u mie we familii każdy na czymś groł. Mamulka i oma na klawiyrze, ôjciec na krzipkach, brat na trompecie, siostra na flyjcie. No toż tako muzykalno familijo żech mioł...

PAULA:

A Wy? Wyście na czym grali?

ACHIM:

A jo bōł jakiś podciep, bo niy umiōł żech sie nauczyć na niczym.

*Achim lacho sie fest, aże przilatuje Alan*

ALAN:

Co Wom tak wesoło? Tyż sie chca pośmioć, niy ma co robić za tym barym...



PAULA:

Pan Achim prawiôm, że cõlko jego familijo to byli muzykanty, koždy na czymś groł, a ôn niy! Forsztelujesz sie to, Alan? Jo niy wierza, że Wyście na niczym nie grali, panie Achim!

ALAN:

No ja, Paula mo recht, przeca siedzicie sam, słuchocie durś jak grajõm, zgadujecie co to za muzyka słychować, a niy grocie na niczym? Jo tyż niy wierza!

ACHIM:

Jo Wom cosik powiym, na mie doma godali „jego ojciec je muzykant, a synek je trompyjta”. No, niy umiołch i tyła. Jo sie ino nadowõł do ôbracanio kartek w tych heftach z nutami. To mi wylaziõło. Bõlech nojmodszy smark i zech sie ino do tego nadowõł. A ôjciec i mamulka przynosili bele jakie instrumynta: i cyja, i klarnet, ôrgany i organki tyż. Cõłki sklep z instrumyntami. I nic. Żodnych zdolności. Larma w doma, co niymiara.

ALAN:

No i co, na niczym w końcu żeście niy grali?

*Achim zaś sie lacho, aż go w całyj akademii słychować*

ACHIM:

Trocha zech na dromlu wybijõł, ale nawet niy do rytmu, to mi go tyż wziynli!

PAULA:

No to skõnd sie tak znocie na tym muzykowaniu?

ACHIM:

No toż, że niy umia grać, to niy znaczy, że niy miłuja muzyki i że niy słysza! W takim domie jak bõł mõi, to niy mogło być inaczyj. Durś muzyka na żywo. I powiym Wom cosik jeszcze... Wiycie czamu jo sam przilaża i tych studyn-tów słuchõm, jak grajõm?

PAULA:

No czamu? Bo to mnie fest niy dowo spać!

ACHIM:

Jak zech jest tukej, i słysza jak ftoś jeden, drugi i piõnty roz gro to samo, to sie czuja chobych bõł w moim domie, z mojõm familjõm, bo õni tyż przeca durś ćwiczyl, fałszowali, niykedy tego niy szło wysiedzieć i zech musiõł wyłyż... Jak moja siostra Trauda piyknie fałszowała... do dzisiej to mi pisko we głowie... Za to jak sie niyroz zebrali do kupy i cosik razym grali... kolyndy we gody, abo na jakim fajerze, geburstagu... Niy do sie zapomnieć, take to bõło piykne!!!

ALAN:

Tego to żech sie niy spodziywōł!

ACHIM:

Ale czego? Że przilaża tukej coby suchać, jak studynty fałszujōm?

ALAN:

No ja! To by mi ani do gowy niy przilazło, że take fałszowanie może być do kogoś fajne!!!

PAULA:

A jo to terazki rozumia. I rozumia tyż to, że macie sztyjchary jak grajōm... I jak zawrzecie ôczy to widzicie wasza mamulka, ôjca, brata i siostra jak grajōm downo tymu w waszym domie.

ACHIM:

Dyc ôni wszyscy już niy żyjōm, a ta muzyka mi ô nich przypomino. Bez to sam przilaża dziyń w dziyń, bo mōm ta godzina czasu, coby podumać... A terazki musza lecieć, bo niy zdōnża do tego lazarytu...

ALAN:

Do jakiego lazarytu?

ACHIM:

Jutro Wom ôpowiym, bo na mie już czekajōm!

*Achim wstowo i wylazi. Alan i Paula siedzōm jeszcze trocha przy stole z zawrzytymi ôczami i suchajōm muzyki.*

BINA V

*Alan z Paulōm siedzōm przy stoliku i ôsprowiajōm*

PAULA:

Alan, jo tak myśla, co pan Achim je chyba chory i ôn sam niydaleko do lazarytu łazi... Niy wyglōndo źle. Ale wiysz, mo swoje lata. A jak mu co poważnego dolygo...?

ALAN:

No, mosz recht, można mu trza jakosik pomōc, kupić co we sklepie, abo w doma co porobić? Zapytōmy go dzisiej jak bydzie, zarozki piźnie 11, to ôd niego czas!

PAULA:

Jo zech jeszcze wymyślała, że załatwia mu bilety na jaki koncert, można by my nawet razem poszli ś nim? Jo go fest lubia, ôn choby mōj starzik bōł ôsprowio, durś cosik mo do godki i sie lacho tak, że każdy inkszy tyż sie ôd razu lacho.

ALAN:

To leć terozki po te bilety, a jo mu ta kawa zrobia jak przilezie!

*Paula gibko idzie kajś na wiyrch, Alan czeko na Achima. Za chwila Paula je nazod, z daleka macho biletami.*

PAULA:

Wejrzyj, Alan, mom wejściówki na koncert dlo nos wszystkich. Kaj je pan Achim, bo go niy widza?

ALAN:

No, niy ma go jeszcze... Tyż sie dziwia, bo przeca zygor szło sztalować wedle niego. Można cosik go zatrzymało. Na pewno zarozki wlezie.

PAULA:

Nerwuja sie. A jak cosik mu sie stało?

ALAN:

Godom ci, niy nerwuj sie, bydzie, bydzie. Zaroz bydzie.

PAULA:

Jak tak godosz, to ci wierza. No, to czekōmy...

*Alan i Paula siedzōm i patrzōm na dźwiyrze.*

# KOSMICZNO RAJZA

Mateusz Czyba

OSOBY:

LYJO *ok. 45 lat,*

YWALD *ok. 30 lat,*

ERWIN *ok. 20 lat.*

NIKISHA *komputer pokładowy (żeński głos)*

*Scena jest mostkiem kosmicznego statku. Pośrodku pulpit, za nim trzy fotele.*

*Widok na widownię jest widokiem na zewnątrz.*

*Miga czerwone światło i słychać głośny alarm. Wchodzi zaspany LYJO i trzyma się za głowę. Wszystkie osoby są ubrane jednakowo.*

LYJO:

Jakie larmo, jakie larmo! Co sam sie dzieje? Pospać niy dajōm, hajcuje sie?

Nic niy czuja... Gaz! Na zicher gaz! Metan! Ywald!

YWALD *(ziewa, drapie się):*

Co chcesz?

LYJO:

Prziniyś sam ino jako klotka ze tym kanarkiyem, tym citronōwym, wiysz kaj?

Metan je, czujesz?

YWALD:

Nic niy czuja.

LYJO:

Bo to je metan. Bez to ci godom, idź po tego ptoszka.

YWALD:

Chopie, o czym ty godosz? Jakigo ptoszka? Ty wiysz, kaj my som?!

LYJO:

Jak to kaj? Na grubie! Co ty mie sam za bozna robisz?!

YWALD:

NIKISHA, wyłōncz te pierōństwo!

*Czerwone światło przestaje mrugać, alarm się wyłącza; LYJO rozgląda się dookoła.*

LYJO:

Jak ty żeś to zrobił?

YWALD:

Pobudka! (*klepie go po twarzy*) Dyc my sōmy na szipie i lecymy na Marsa! Zapomniols?

LYJO:

Na Marsa... na Marsa... ja, terazki mi sie coś przypomino... pamiyntom, co nos wraziyli do tego szipa i my zarozki poszli nynać.

YWALD:

No widzisz, jak pamiyntosz!

LYJO:

Ja, ja... Nale już mie wiyncyj po pysku niy pier, bo jo je twōj sztajger!

YWALD:

Sztajger, to ty bydziesz jak już dolecymy.

LYJO:

A fto jo je teraz?

YWALD:

Terazki żeś je pasażyr, tak jak jo. Cołki lot je automatyczny, my sam niy momy nic do godki.

LYJO:

Mosz recht, pamiyntom. Ino jak już bydymy na tym Marsie, a jo już byda tym sztajgrym, to przypomnij, że ci mom urwać z geltagu za te rynkoczyn, ja?

YWALD:

Ja, przypomna, przypomna...

LYJO:

To fajnie. (*pauza*) Niy napił byś sie bōnkawy?

YWALD:

No toć. Jo zowdy z rana pija bōnkawa.

LYJO:

Jo tyż bych sie napił, bo tak mom we pysku sucho...

YWALD:

Wiele to idzie nynać, pra?

LYJO:

No dyc! Dziewiynć miesiōnczków... dobrze pamiyntom?

YWALD:

Gynau, dziewiynć.

LYJO:

Gōwka pracuje... Ciekawe, wiela je godzin, bo jo pod wieczōr kawy niy pija, a ty?

YWALD:

No toć, że niy! Jo ino rano przed szychtōm. Ino wiysz co?

LYJO:

No?

YWALD:

Terozki to chyba niy mo znacznio, wiela je godzin...

LYJO:

Jo już tam swoje wiym. Jak sie napija bōnkawy na wieczōr, to niy usna, czy byda pod ziymiōm, na ziymi, abo we kosmosie. Mojigo organizmu niy oszukosz.

YWALD:

Nale dziepiyro my sie obudziyli! Dyc mogomy sie chyba bōnkawy napić...

LYJO:

No dobra, można i mogomy, zaryzykuja.

YWALD:

I tak trzimej.

LYJO:

To jak?

YWALD:

Co jak...?

LYJO:

Nooo... to zrobisz ta kawa?

YWALD:

A czymu jo jom mom robić? Som niy poradzisz?

LYJO:

Pedzioleś, że chcesz.

YWALD:

Chca... A ty już niy chcesz?

*Wchodzi ERWIN. Jest całkiem przytomny i ruchliwy; rozciąga się, robi pompki, przysiady itp. YWALD i LYJO na to patrzą. ERWIN nie zwraca na nich uwagi.*

LYJO:

Pa na niego. Choby mody Ponbōczek.

YWALD:

Cołki Erwin...

LYJO:

Ôn sie już chyba kawy napiôł. Ino kedy?

YWALD:

Niy, ôn już taki je. Choby nakryncōny... Nale co chcesz: niy kurzi, niy pije, to energio mo i je mōnter.

LYJO:

Dziewiyńć miesionczkōw nyanio, a on nic...

YWALD:

Erwin! (*ERWIN przestaje ćwiczyć*) Zrobisz nom bōnkawy?

ERWIN:

Sami niy poradzicie, pra?

LYJO:

Niy być taki mōndry! Jo sam je sztajger, to ci koża zrobić.

ERWIN:

Ja, mhm... Mie niy nabieresz, jo znom przepisy. Na szpie my som wszyscy rōwne, a kawy mie sie pić niy chce. (*ćwiczy dalej*)

YWALD:

No to chyba sie niy napijymy.

LYJO:

Terozki to jo już bych sie czego innego napiôł...

YWALD:

Jak ty mosz terazki recht! Nawet sie niy zdowosz sprawy.

*Znowu zaczyna mrugać czerwone światło i odzywa się alarm.*

ERWIN:

A to co?

YWALD:

NIKISHA, cicho!

*Nic się nie dzieje.*

ERWIN (*zrywa się*):

Co żeście zrobili?!

LYJO:

My nic! My sie ino chcieli bōnkawy napić!

YWALD:

Nale to tak bucało, jak my sam wleźli!

ERWIN:

NIKISHA, tryb ko-mu-ni-ka-cyj-ny!

*Alarm i czerwone światło wyłączają się.*

NIKISHA:

Przełaza na tryb komunikacyjny.

YWALD:

No i to jo rozumia. Niy wiym po co te larmo, jak my już wstali, niy?

ERWIN:

A mie sie to niy podobo...

LYJO:

Co chcesz? To tak je, jak baba je autopilotym.

YWALD:

Dyć to ino komputer.

LYJO:

Kompiuter-niy kompiuter, niy wiadomo, co ij we drōtach szczelōło.

YWALD:

Suchejcie, jak już nos obudziōła, znaczy sie my som na miejscu.

ERWIN:

Mosz recht, już my tego Marsa powinni widzieć.

LYJO:

I kaj ōn je?

YWALD (*patrzy*):

Nic niy widać.

ERWIN:

Pōdźcie, idymy na kraj, można tyn Mars je z boku.

*Idą na lewy skraj proscenium i wychylają głowy na prawo.*

LYJO:

Jo tam nic niy widza. Czornij niż na grubie, a wy?



YWALD:

Jo tyż niy. Idymy z drugij strony.

*Idą na prawy skraj proscenium i wychylają głowy na lewo.*

ERWIN:

Ô świnio!

LYJO:

I to mo być tyn Mars?

YWALD:

Niy wyglōndo...

*ERWIN wraca na środek sceny, trzyma się za usta.*

LYJO:

Czerwony mioł być, niy?

YWALD:

I myńszy.

LYJO:

A te pieszczonki naôbkoło?

YWALD:

Mie sie to niy widzi.

ERWIN:

To je Saturn...

LYJO:

Co tam godosz?

ERWIN:

Saturn!

YWALD:

Saturn... Coś mi świto. *(do ERWINA)* To je chyba za... Jupiterym...?

ERWIN:

To je blank dalij niż Jupiter.

LYJO:

Jupiter... A co to je Jowisz?

YWALD:

A skond jo mom wiedzieć?

*NIKISHA chrząka.*

YWALD:

Słyszeliście?

NIKISHA:

Ja, to jo. Przełōnczyliście na tryb komunikacyjny i mie ô nic niy pytocie.

*YWALD i LYJO wracają na miejsce.*

ERWIN:

Mo recht. W końcu ôna nos sam przikludziôła, jak my nynali.

YWALD:

No, NIKISHA, godej ô co sie rozchodzi.

NIKISHA:

Nojsomprzōd musza wom pedzieć, żeście niy nynali dziewiyńc miesiōnczków, ino dziewiyńc lot.

LYJO:

No to przinomnij wiymy, na czym stojymy...

*LYJO mdleje, YWALD i ERWIN łapią go, ale trudno im go utrzymać.*

ERWIN:

Lyjo!

YWALD:

Ino mu niy dowej po pysku, bo ci z geltagu urwie. Lyjo!

LYJO:

Ja...? Powiydźcie mi, zech je na grubie.

YWALD:

Jeżeś na grubie, czuć metan, czujesz?

LYJO:

Czuja.

ERWIN:

Metan niy wonio...

YWALD:

Cicho być! (*do LYJA*) Iś po ptoszka?

LYJO:

Idź, posuchomy jak śpiywo...

*LYJO traci przytomność, YWALD i ERWIN go podnoszą i sadowią w fotelu.*

ERWIN:

I co teraz? Jeszcze żech nigdy niy bôł we takij sytuacji.

YWALD:

Co ty niy powiysz? Jo tak mom dziynnie!

ERWIN:

NIKISHA! Je sam jakoś aparatura medyczno?

NIKISHA:

Ônymu nic niy ma. Ze prawyj strony we szrancku na dole je tako flaszka.

*YWALD biegnie tam, gdzie skierowała go NIKISHA; szuka.*

ERWIN:

Mosz?

YWALD:

Mom!

ERWIN:

Co to je?

YWALD (*czyta*):

Amöl.

NIKISHA:

Dejcie mu pod kinol, niych powonio.

*YWALD podbiega z butelką do LYJA, odkręca i daje mu pod nos.*

*LYJO zaczyna ciężko oddychać.*

ERWIN:

Lepij ci?

LYJO:

Jak tyn ptoшек gryfnie śpiywo... (*zaczyna gwizdać, ale mu to nie bardzo wychodzi*) Tako fajno melodia... (*patrzy na YWALDA i ERWINA*) Już my dolecieli...?

YWALD (*potrzęsa nim*):

Ôpamiyntej sie! Nikaj my niy dolecieli.

NIKISHA:

Tego bych niy pedziała. (*patetycznie*) Jeszcze żodyn człowiek niy dolecił tak daleko. To je wielgi krok dlo ludzkości. To je wielgi sukces!

*LYJO bierze Amol od YWALDA i som wonio.*

ERWIN:

Wielgi krok? Ty żeś sie straciła we kosmosie. Tyś nos straciła we kosmosie.  
Kaj ty sam widzisz jakiś sukces?

YWALD:

Kobiyta za kółkiym, czego sie wiyncyj spodziywać...

*Lyjo zaczyna się śmiać.*

ERWIN:

A ty co zaś?

LYJO:

Nic, tak mi sie wesoło zrobiło. Eli to niy skiż tego pieronowego sukcesu  
cołkij ludzkości!

*Lyjo śmieje się już całkiem głośno.*

YWALD:

NIKISHA, jak już my pobiyli tyn rykord, to można tak nazot polecieć, co?  
My na tym Marsie już by my downo ta podziemno kolônia wyfedrowali.

ERWIN:

Gynau! My som ôsiym lot w plecy. A rok po nos mieli piyrsze kolônisty przy-  
lecieć. I jak, ôni tam czekajôm, a nic niy ma narychtowane?

YWALD:

Jo bych jeszcze chcioł wiedzieć, eli mie sie te lata bydôm do pyndzyje liczyć.

NIKISHA:

Ô nic sie niy starejcie, ino musicie mi dać dõńść do głosu. Durch ino faflocie  
i faflocie i nic to niy dowo. Jo zech sie wcale niy straciła.

LYJO:

Toć, ino żeś pomyłyła zjazdy ze autobany.

ERWIN:

Cicho być! (*do NIKISHY*) Godej dalij.

NIKISHA:

To bõło tak. Lecieli my już põł roku na Marsa i wszystko szło, jak bõło zapla-  
nowane. Ôroz moje czujniki zaczęły ôdbiyrać dziwne signale. Jo myślałach,  
że to je jakieś promiyniowanie ze szrodka galaktyki, abo można jakoś super-  
nowo, nale niy. Zaczłach analizować tyn signal i mi wyszło, że to je alfabyt  
Morse'a. A jak zech to już ôdszyfrowała, to aż mi silniki stanyły z wrażynio!

ERWIN:

Co to bōło?!

NIKISHA:

Przekōz bōł taki: „My som na Saturnie, my som na Saturnie”. I tak cołki czos. Terozki tyż to ôdbiyrom, ino głośnij.

YWALD:

Jezderkusie...!

NIKISHA:

Niyskorzj zech sie skontaktowała ze Ziymiom, co mom z tym fantym zrobić. I dostałach ôdpowiedź, ażeby zmiynić kurs i lecieć w strona Saturna. A jak zech sie zapytała, co ze Marsym, to mi ôdpedzieli, że Saturn to je blank ważniysze ôdkrycie i zmiynili status misji ze transportowyj na badawczo. Ôbudziolach wos tydziyn przed lōndowanym, żebyście sie umieli narychto-  
wać.

LYJO (*wstaje, podnosi butelkę z Amolem*):

Chopy, to zdrowie!

*LYJO chce się napić, ale ERWIN wryywa mu butelkę z ręki i chowa do kieszeni.*

ERWIN:

Doś tego! I ty żeś miōł być naszym sztajgrym?! Gańba-wstyd! Śmieje sie jak gupi do kyjzy i jeszcze Amōlu sie nawōnioł.

YWALD:

Dej mu pokōj! Jo go tam rozumia. My somy bergmony, a niy żodne astronauty. Mielimy lecieć na Marsa i fedrować podziymne miasto, zapomniōś? Zobocz, jak sie wszystko złonaczōło.

ERWIN:

Niy zapomniōlech, ino co my momy we tyj sytuacji zrobić? Poradzisz obsługuwać te klamorstwo? (*pokazuje na pulpit, ekrany i inne świecidelka*) Bo jo niy.

YWALD:

Jo tyż niy...

ERWIN (*do Lyja*):

A ty?

*LYJO kręci głowę.*

ERWIN:

No i sami widzicie jak je. NIKISHA nos sam skludziōła i musimy robić, co nom koże, a jo je ino prosty szczałowy...

YWALD:

...kery doleciōł do Saturna (*śmiech*)

LYJO:

A jo coś powiym.

ERWIN:

Zaś zaczyno...

LYJO:

Tyś żeś już doś pedzioł. Uważosz, co jo niy znom takich, jak ty? Dużo godajōm: mało robiōm. Chcesz lecieć na tego Saturna, bo ci sie fedrować niy chce, tako je prowda!

ERWIN:

Idź, bo jak cie...!

*ERWIN doskakuje do LYJA, ale YWALD ich rozdziela.*

YWALD:

Chopy, doś tego! Niy wodźcie sie ô takie dupsy! (*do LYJA*) A ty sie tyż za takigo ważnego niy rōb. Można i twōj prapraprapraōpa bōł przodownik pracy, nale ty żeś na zicher przodownik niy je.

LYJO:

I fto to godo?!

YWALD:

A co, do mie tyż coś mosz? Cołkie życie sie znomy, to godej, chyntnie posuchom.

LYJO:

Jeronie! Mie sie ino ô to rozchodzi, co zaś noś ôciulali! Niy widzicie tego? Całe lata tak robiōm, całe lata my im zawodzali i zoboczcie: wyepiyli nos na Saturna! Brawo!

NIKISHA:

Żodyn żodnego niy wy...

LYJO:

A ty tyż być cicho! Musiałaś ôdbiyrać tego Mōrse'a? Niy musiałaś. Musiałaś nadować na Ziyimia? Niy musiałaś.

NIKISHA:

Musiałach! Tak mi koże protokół.

LYJO:

Protokół...

NIKISHA:

Wy robicie swoje, a jo swoje. Mie tak zaprogramowali, że jak mi co kożom robić, to jo robia.

YWALD:

I tu sie niy zgodzom. Swoje, to my by robiyli na Marsie, a sam co, bydymy szukać ludzika ze telygrafym? To je niyuczciwe...!

LYJO:

Mosz recht. Wraziyli nos we kofry, unynali, a teroz kożom robić, co sie wymyślöm.

ERWIN:

Nale po co my sie tak ônaczymy? Dyc sam trzeba myśleć pozytywnie. To może być nasza wielgo, życiowo przigoda! A ze tym Saturnym, to jo wom coś powiym. Słyszötech kedyś ô takim jednym chopie ôd nos, co padoł, że na Saturnie je życie, nawet wiyncyj: jak czowiek umrze, to jego duszyczka leci miyszkać na Saturnie. Ôn malowoł ôbrozki, na kerych je tako hecno gadzina, co tam żyje. A jak tam je kolorowo! Choby we bojkach...

YWALD:

I co, myślisz, że mioł recht?

ERWIN:

Niy wiadomo... ale... można to kero duszyczka wysyło durch te signale, no i na nos trefiyło...

LYJO:

Wy słyszycie, co wy godocie?! Modeście, a gupieście! Przigöd im sie zachciywo... A niy pomyśleliście, że to je jedna, epno ślapica?

YWALD:

Ślapica?

LYJO:

A jak! Taki... siryni śpiyw. Wylondujemy, a tam nos co capnie i zeżere.

YWALD:

Ijee...

LYJO (*do Erwina*):

Gadzina, padosz... W to moga uwierzyć. Za bajtla widziołech taki film, w kerym lecieli szipym bez kosmos i tyż ôdebrali signal.

YWALD:

I co?

LYJO:

I polecieeli sprawdzić. Wylōndowali, a tam cima, choby na grubie. Nale znodli taki epny cimer, a we tym cimrze pōlno jajec. I ze jednego jajca sie wykluło take pierōństwo, co sie ciepło na jednego ze tych kosmonautów i prziklejōło do pyska. No i oni go prziniyśli na tyn szip, a potyn...

ERWIN:

Co potyn?

LYJO:

Potyn z tego chopa wylazło jeszcze wiynksze pierōństwo i... zeżarło wszystkich...

YWALD:

Wszystkich?

LYJO:

Chopōw... Bo jedna... frela przeżōła i udało ij sie pitnōńć.

YWALD:

Jezderkusie! (*żegna się*) Już po nos...

ERWIN:

Dyć to ino film bōł!

LYJO:

Gynau. Tyn chop, coś o nim padoł, tyż ino ōbrozki malowoł...

YWALD:

Czyli co robimy?

ERWIN:

Nic.

LYJO:

Coś musimy zrobić! Muszimy... podjōńć jakieś decyzje!

ERWIN:

Ty sie możesz podyjmować, co chesz, ale szipym kieruje ōna.

LYJO:

I beztoż ty mi sie niy widzisz...

YWALD:

Co ty godosz?

LYJO:

Jo wiym, co jo godom.



ERWIN:

Chciolbych to usłyszeć... Czymu jo ci sie niy widza?

LYJO:

Nic, nic... jo to tak pedzioł... po tym Amölu... (*ciszej*) Ta bönkawa... wiysz jak sie robi?

ERWIN (*podejrzliwie*):

No, wiyim...

LYJO:

A zrobiölbyś nom? Piyknie cie prosza...?

ERWIN:

Jak już tak piyknie prosisz... Mie tyż we pysku zaschło.

LYJO:

No i szykownie! Zrób mi tako mocniyszo, co? A ty jako chcesz, Ywald?

YWALD:

Bele jako, ino ze mlykiem.

LYJO:

To zrobisz nom, ja?

ERWIN (*niepewnie*):

Zrobia, zrobia...

*ERWIN schodzi ze sceny zrobić kawę, LYJO za nim patrzy, dopóki nie zniknie mu z oczu, po czym ciągnie YWALDA na bok.*

YWALD:

Co ty robisz?

LYJO:

Ciii...

YWALD:

Co zaś?

LYJO:

Co ô nim myślisz?

YWALD:

Ô kim?

LYJO:

Ciiii... Jak ô kim? Ô Erwinie.

YWALD:

Nale o co ciebie sie rozchodzi?

LYJO:

Ôn mi je pierõnym podyjrzany...

YWALD:

Padosz?

LYJO:

Padom. Pamiyntosz, że nos miało ino dwõch lecieć?

YWALD:

Pamiyntom. Wciśli go nom na ostatni driker. Pedzieli, co nom sie przido modszy i mocnijszy do pomocy.

LYJO:

Genau. A co my ô nim wiymy? Nic.

YWALD:

No... robotny je, nale i trocha nerwyjs...

LYJO:

Nerwyjs, to swojom drõgõm. Niy mynczy sie, niy kurzi, niy pije... Niy jy... Widziołś go kedy ze sznitõm w rynce?

YWALD:

Kule... Jak tak pomyśleć...

LYJO:

Jo ci wiyncyj powiym. Põdz bliżyj. (*do ucha*) Jo myśla, że ôn trzimie ze tõm na wiyrchu.

*YWALD ledwo powstrzymuje śmiech.*

LYJO:

Ciii... Tyn cołki Amõl, to niy boł Amõl...

YWALD (*w szoku*):

Po jakiymu? Dyc jo ci go doł.

LYJO:

Skond żeś mioł wiedzieć? A ôn wcale niy wonioł jak Amõl.

YWALD:

Ino jak?

LYJO:

Niy wiym... tak jakoś... niy jak Amõl. Godom ci: chcieli mie ôtruć i bez to żech udowoł, że go woniom.

YWALD:

Ahaaa...

LYJO:

Jak dlo mie, to sam je wszystko niy tak jak trza.

*ERWIN wchodzi z kawami.*

ERWIN:

Już ida. Zrobiłech, jak żeście chcieli, ino żech niy poradziōł mlyka znolyż.

LYJO:

A tyś sie niy zrobiōł?

ERWIN:

A, już mi sie odechciało.

*LYJO mruga porozumiewawczo do YWALDA. YWALD chce się napić, ale widzi, że LYJO nie pije, pokazując mu, aby też nie pił.*

LYJO (*do Erwina*):

Jak ciebie niy bōło, to jo godoł ze Ywaldym ô tym filmie, ô kerym żech już godoł.

ERWIN:

No i co?

LYJO:

Bo tam jeszcze bōł taki chop, co mu zależało, ażeby ôni tego ôbcego pieroństwa niy zabiyli.

ERWIN:

Po jakiymu?

LYJO:

No bo uważoł, że takigo cudoka można do sie do czego wykorzystać...

ERWIN:

A to gizd pieroński!

LYJO:

Zresztōm, taki dostał prikaz z wyrchu. A wiysz, co je nojlepsze? Że ôn bōł cyborg!

ERWIN:

Cyborg?! I ôni sie niy skapli?

LYJO:

Niy, bo ôn wyglondoł blank, choby czowiek.

ERWIN:

Jerona... Dobrze, że to ino film bōł. A... czymu tyj bōnkawy niy pijecie?

YWALD:

A wiysz, to chyba tyn cołki sztres. Tela kilōmetrōw ôd chałpy...

LYJO:

Żebyś wiedzioł. Na przodku tyż je cinyńko, nale przinojmniy wiysz kaj żeś je, a sam...?

ERWIN:

Sam tyż wiysz: wele Saturna.

YWALD:

Ja, ale jednak... to nie je to samo. Ale może ty sie szluknij.

ERWIN:

Jo? Mie sie niy chce.

LYJO:

Dyc czynstuj sie! Mosh wybōr: czorno abo z mlykiym.

ERWIN:

Wola tyj, nale niych ci bydzie.

*ERWIN bierze jedną kawę i wypija całą.*

LYJO:

I jak?

ERWIN:

Jakoś tako... bez smaku.

YWALD:

A Amōl? Wyciōngnij tyn Amōl ze kapsi i powoniej.

*ERWIN robi, jak mu powiedział YWALD.*

ERWIN:

Piyrszy roz woniom coś takigo... A co? Ô co sie sam rozchodzi?

YWALD (*nerwowo*): Wiycie, chopy? Musza wom pedzieć coś, czego zech mioł niy godać, boch sie myśłoł „a na co mom godać?”, ale terozki, jak my już som we takij... sytuacji, to w sumie, czymu mom trzimać pysk, niy? (*bierze drugą kawę, pije*) Mmm, ale dobro... No, w każdym razie, jak nos wraziyli do tego szipa, to bōł tam taki jedyn, co ôbsługiwoł te kapsuły do nynanio, niy? I jo właziōł za trzecigo. I jak wy żeście byli już zawarte, to ôn mi pedzioł tak po cichu, że jedyn pasażyr poradzi przeōnaczyć cołki szip ze trybu autopilota

na manula. No i jo wiem, że to niy je jo, no bo jak? A jak niy jo, to musi być keryś z was... (*znowu pije*) Nojlepszo bōnkawa, jakoch piōł.

LYJO:

No i to je dobro wiadomość. (*do ERWINA*) Niy?

ERWIN:

Nale co na mie paczysz? Czemu to niby jo mom być? A może toś ty je?!

LYJO:

Jo? A z jakij racje jo?

YWALD:

To można zapytomy sie NIKISHE? Ona musi wiedzieć.

LYJO:

NIKISHA! Je to prawda, ô czym my godomy, że jedyn z nas może cie wyłōnczyć?

NIKISHA:

Niy moga potwierdzić, (*pauza*) ani zaprzyczyć...

LYJO:

Jo to wiedzioł! (*do ERWINA*) Godej!

ERWIN:

Co ty ody mie chcesz?

*Robi się groźnie, LYJO podchodzi do ERWINA, chwyta go za fraki.*

LYJO:

Jak – sie – wyłōnczo – ta – pierona?!

*ERWIN odpycha LYJA.*

ERWIN:

Dej ty mie śwynty pokōj! Jo niy wiem, co ty godosz!

*Nagle od tyłu chwyta go YWALD i ściska.*

YWALD:

Lyjo, jo go trzimia, a ty sprawdzej!

*LYJO obmacuje ERWINA, który cały czas próbuje się uwolnić, po rękach, po brzuchu i klatce piersiowej. Później ogląda mu głowę, obraca nią, zagląda do uszu, w oczy, do ust, w końcu chwyta za kark i ERWIN się wyłącza.*

YWALD (*puszcza Erwina*):

Widziołś to?

*ERWIN cały czas stoi, ale się nie rusza i ma otwarte oczy.*

LYJO:

Jo to wiedzioł! Cyborg! Pieroński robot! Teroz wiymy, co i jak.

YWALD (*przygląda się Erwinowi, obchodzi go dookoła*):

Żeby takie coś...! Fto by pomyśłoł...

LYJO:

Za bajtla zech słyszoł ô takich rzeczach. Ô cyborgach, co majôm zastômpić ludzi we robocie.

YWALD:

Jo rozumia kajś we Chinach abo u Amerykonôw, ale u nos? Na Ślônsku?

LYJO:

A skond wiysz, eli ôn niy je jakiś made in China...? Ôni poradzôm niy take rzeczy wynokwiać. Kozali im skonstrułowac ślônskigo bergmona, to skonstrułowali. Zaprogramowali mu godka i stykło.

YWALD:

Dalij ciynżko mi w to uwiyrzyć...

LYJO:

Uwiyrz, uwiyrz, w końcu jeześ pora dni ôd Saturna.

YWALD:

NIKISHA?

NIKISHA:

No i co żeście narobiyli?

YWALD:

Poradzisz go włônczyć?

NIKISHA (*po pauzie*):

Niy poradza.

LYJO:

To przypomnij nom, jaki je punkt 10 Rygulaminu.

NIKISHA:

Rygulamin lotu, punkt 10: „W razie, kedy przinojmnij jedyn członek załogi z roztomajtych przyczyn niy poradzi kontynuować misji, szip wraco na Ziymia.”

YWALD:

No i to chyba pasuje. Erwin wyglôndo na niydysponowanego...

LYJO:

...chyba, że go zaś włõnczymy...

YWALD:

...ale na razie nom sie niy spieszy.

NIKISHA (*po dłuŹszej pauzie*):

Rygulamin lotu, punkt 21: „W razie, kedy cel misji zostanie zmiyniony, reszta punktõw rygulaminu traci wãŹnoŹ.”

LYJO:

Co?! Jo pamiyntom ino 20 punktõw!

YWALD:

ZaŹ nos õfulali!

NIKISHA:

Źodyn wos niy õfuloł. 21 punkt boł na drugij stronie, ino wom sie niy chciało kartki przeciepnõć.

LYJO:

Pacz, jako mõndro...! (*chwytã siã za głõwã*) I co my zrobiemy? Mie sie juŹ skończõły opcje.

YWALD:

MoŹno uruchomiymy Erwina i...

LYJO:

I co? Dyć õn nos som pozabijo, jak sie ino õpamiynto!

YWALD:

MoŹno niy bydzie tak źle. MoŹno udo nom sie go przekonać, Źeby przeõnaczõł na tego manualãla...

NIKISHA:

Źyczã wom powodzynio.

*Pauza.*

YWALD:

Dobra, jo sprõbuja. Kaj ŹeŹ go przicis na koõcu?

LYJO:

We kark. Ze zadku.

YWALD:

Dobra, cofnij sie.

*LYJO odsuwa się na bok, YWALD ustawia się za ERWINEM i przyciska go w kark, po czym sam odskakuje. ERWIN zaczyna mrugać oczyma, ruszać głową, patrzy na swoje ręce, rozgląda się, widzi przestraszonych LYJA i YWALDA, następnie siada w fotelu i się kuli.*

LYJO:

A ôń co?

*YWALD wzrusza ramionami.*

LYJO:

Erwin, co ci je?

*YWALD podchodzi bliżej i chwytą ERWINA za ramię.*

YWALD:

Erwin, to jo... My cie niy chcieli wyłõnczyć... To bõło bez cufal.

ERWIN *(cały zapłakany)*:

A deście wy mie pokõj...!

LYJO:

Zobocz, ôń ślimto.

ERWIN:

Bo jo, bo jo niy wiedziołech, zech je cyborg... *(płacze dalej)*

YWALD:

Niy wiedziołś?

ERWIN:

Niyyy...!

LYJO *(do góry, wygraża)*:

Ô wy pierony, nawet żeście cyborga oszukali!

ERWIN:

Cołkie moje żywobycie to je jedne wielgie cygaństwo...!

YWALD:

Gowa do gõry.

LYJO:

No dyc! Powiydz ino jedna rzecz: poradysz wyłõnczyć NIKISHA abo niy?

YWALD:

Dej mu terazki świynty pokõj. Zobocz, jak sie załomoł.



ERWIN:

Poradza.... Chyba...

LYJO:

To powiydz nom jak, to my ci pomagomy. Chcesz dalij lecieć na tego Saturna? Abo robić na Marsie, jak chop, jak echt chop na grubie? Chcesz być richtig chopym? Chcesz?

ERWIN:

Chca...

LYJO:

I tak trzimej! Zoboczysz, jeszcze sie znojdiesz jako fajno frela-kolonistka, co sie niy skapnie, ześ je cyborg i bydziesz szczynśliwy.

ERWIN:

Szczynśliwy... Bele by mie fest za kark niy macała...

LYJO:

Niy starej sie, jak cie dobrze skonstrułowali, to bydzie cie kaj indzij macać.

NIKISHA (*chrząka*):

Musza wos stropić. Wyście już som na Marsie niypotrzebne. Jak my sam lecieli, to zdonżyli posłać drugo ekipa, kero już 5 lot fedruje. Już piyrsze kolonisty tam miyszkajõm.

*Duższo pauza.*

YWALD (*przerażony*):

Cy... cygaństwo!

NIKISHA:

Jo wos nigdy niy ofulała...

YWALD:

To mōgłaś ôd razu pedzieć!

LYJO:

Ja, ja, już my wiymy swoje. Lecymy na Marsa i koniec dyszputy! (*do YWALDA*) Niy zwracej na nia uwagi, nych sie tam godo do sia, zresztõm zarozki Erwin zrobi, co trza (*poklepuje ERWINA*) i õna już niy bydzie miała nic do godki, pra?

ERWIN:

Pra.

LYJO:

No to godej, co trza robić.

*ERWIN (skupia się): We tym blacie je tako dziura i musza wrazić do nij mały palec.*

LYJO:

Ino tela? Dobra, szukomy.

*Wszyscy szukają otworu w pulpicie.*

ERWIN:

Je!

LYJO:

To wkłodej. (*ERWIN wkłada mały palec do otworu*) I jak?

ERWIN:

Nic.

YWALD:

To wroź palec drugij rynki.

*ERWIN wyciąga palec z otworu.*

NIKISHA:

Czekejcie!

LYJO:

Co zaś?!

NIKISHA:

Dostałach nowe wytyczne ze Ziyimi. Jak sie zgodzicie lecieć na Saturna to niy ino dostaniecie sztyrnostki, ale i piytnostki.

YWALD:

Piytnostki?

LYJO:

Niydoczekanie! Juź my take gupie niy som!

NIKISHA:

A pōł szesnostki?

ERWIN:

Pōł szesnostki...

LYJO:

Niy chcymy ani piytnostki, ani szesnostki i żodnych bonōw abo talonōw tyż niy.

YWALD (*do Lyja*):

Niy chcymy?

LYJO:

Niy. I usuchnnijcie mie, bo to som same podpuchy. Ôni by nom grosza wiyncyj nie dali.

ERWIN:

Mosz recht. Papiõory my podpisali na Marsa, a niy na Saturna. To je na zicher podpucha.

LYJO (*do Ywalda*):

Widzisz? Nawet cyborgowi to sie niy widzi.

ERWIN:

Niy nazywej mie tak!

LYJO:

Wybocz, już niy byda. A terozki wkłodej tyn drugi palec.

*ERWIN wkłada drugi palec do otworu.*

ERWIN:

Dalij nic.

LYJO:

Poczekej.

*Czekają.*

ERWIN:

Nic. Ale już wiy: wyłõnczcie mie.

YWALD:

Jeżeś pewny?

ERWIN:

Ja, zrõb to.

*YWALD wyłącza ERWINA. Ten nieruchomieje, jak wcześniej. Nagle wszystkie światła na statku zaczynają mrugać.*

NIKISHA:

Jezder...ku.

*NIKISHA wyłącza się.*

ERWIN (*głosem robota*):

Włōnczom tryb manualny. Proszę czekać.

LYJO:

Czekamy... spokojnie...

ERWIN:

Tryb manualny będzie uruchomiony na trzy... dwa... jeden...

*Światła znowu świecą, jak wcześniej.*

YWALD:

Już?

*ERWIN się nie odzywa.*

LYJO:

Włōncz go.

*YWALD naciska ERWINOWI na kark, ten się opamiętuje i wyciąga palec.*

ERWIN:

I jak mi poszło?

LYJO:

Czekej. NIKISHA, jeżeś tam?!

*Cisza.*

ERWIN:

NIKISHA!

*Nadal cisza.*

LYJO:

Chyba się udało! Udało się!

YWALD:

Udało się?

LYJO:

No dyć, że ja! Niy ma NIKISHY, to mogymy lecieć kaj chcymy.

ERWIN:

Czyli na Marsa...

LYJO:

Ino tam! Fto my som?!

YWALD i ERWIN:

Bergmony!

LYJO:

Kaj lecymy do roboty?

YWALD i ERWIN:

Na Marsa!

YWALD (*po chwili*):

Nale jak?

LYJO:

Co jak?

YWALD:

Poradzisz tym kierować, bo jo niy?

LYJO:

Dyć Erwin poradzi.

ERWIN:

Jo? Jo ino poradza przeõnaczać tryby.

LYJO:

Ino tela?!

YWALD:

No i fajnie. Somy gyniusze, niy ma co...!

LYJO:

W porzõndku. To je do ôgarniyncio. Taki szip chyba niy je ciynższy do ôb-sugi ôd kõmbajnu, niy? Momy czas, zoboczymy, spokopiymy. (*ogląda pulpit*)

ERWIN:

Spokopiymy... przyndzyj sie rozczasnymy na tych saturnowych pieszczon-kach.

LYJO (*czyta z pulpitu*):

„Wprowadź koordynaty” (*szuka palcem dalej*) O, mom! „Na kero planeta chcesz lecieć? Wybier z menu” Kaj je te menu...?

*ERWIN do niego dołącza.*

ERWIN:

O, tukej. Niy wiedziolech, że to je takie proste!

LYJO:

Mars, szukomy Marsa... O, je Mars.

ERWIN:

Zaznaczom. „Wciśnij enter”. Kaj je enter?

LYJO:

Szukomy...

*YWALD staje między nimi i chwyta ich za karki.*

YWALD:

To jo wom pomaga.

*Ściska i obydwa nieruchomieją.*

YWALD:

I załatwione.

NIKISHA:

Musiołś użyć takich drastycznych metod?

YWALD (*przenosi Lyja na fotel*):

Te piyrsze modele som fest uparte. Mōgli go przeprogramować przed ôdłotym. (*męczy się*) Ô Jezderkusie, ale cijnżki...

NIKISHA:

Mo stare akumulatory. Ale fto to miol wiedzieć, że bydzie zmiana kursu?

YWALD:

Żodyn. A z nim już na Ziymy bōły problemy. Szwankowoł mu czujnik wynchu i czasym traciōł kontakt z rzeczywistościom.

*YWALD usadza LYJA i bierze ERWINA.*

YWALD (*do Erwina*):

A ty, mom nadzieja, że już wiyncyj ślimtać niy bydziesz.

*Usadza ERWINA.*

NIKISHA:

Co chesz teraz robić?

YWALD (*zmęczony*):

Jeszcze niy wiym. (*biega palcami po pulpicie, słysząc odgłosy statku; patrzy przed siebie*) Ale piykny tyn Saturn, co NIKISHA?

NIKISHA:

Te pieszczonki som fajne.

YWALD:

A te kolory... Ale piykne! A jaki 6n je wielgi... 6dbierosz dalij tyn signal?

NIKISHA:

No toć. Cołki czos nadowo.

YWALD:

To fajnie. (*patrzy na ERWINA i LYJA*) Szkoda, że tego niy widzicie... Saturn je taki gryfny... Mom nadzieja, Erwin, żeś mioł racjo ze tymi duszyczkami, co tam miyszkajom. Można i mie sie jako trefi... Można i mie...

*YWALD wkłada palec do dziury na pulpicie, chwyta się za szyję. Ściska.*

*Nieruchomieje.*

*Zaciemnienie.*

*Z dedykacją dla kosmicznej  
wyobraźni twórców  
z Grupy Janowskiej  
autor*

*Świętochłowice, listopad 2021*

Irek Widera

OSOBY:

GERARD KAPOL *fusbalyrz*

KAMIL MAŚLÖNKA *praktikant*

a dalij:

REŻYSER I REDACHTORY *Dariusz Srokowski, Tomasz Żyniok, Mateusz Gaik.*

BINA PIYRSZO: Dzisiej

*Sztudyjo we telewizyi. Epny szrajbtisz, sztyry zwyrtane zesle, pora mōnitorōw  
kere lang pokazujōm nafolowany sztadiōn, jakeś pomotlane droty na zolu, pora  
pociepanych bele kaj kartek, czorne kamery, ciciate mikrofony a ôd zadku blank  
modro ściana. Tulma ludzi w ancugach, cwitrach, treskach a każdy kajś tyro,  
za czymś sznupie, kogoś woło, ferfluchtuje a przezywo bez mobilniok.  
Bajzel kej w babskij taszcze...*

REŻYSER:

Burdel jak w damskiej torebce! Gdzie jest moja kawa?! Zuza! Popraw makeup pani Tomkowi bo mu się czoło świeci jak choinka na Wielkanoc! Te papiery na podłodze! Czy ktoś to może pozbierać? Co tu robi pies z trzema nogami?! O! Kamil! Gdzie ty się szwendasz! Masz tego człowieka? Gdzie on jest?!

KAMIL:

U golacza na dole! A potym jeszcze mo zōńś do Żanety. Przido mu sie troszka sztafirōnku bo ôszkliwie...

REŻYSER:

Młody człowieku! Tyle razy ci już tłumaczyłem, tak?! Zostaw gwarę dla wi-  
zyt na tym twoim zasmrodzonym Śląsku! Tu, w Warszawie używamy wy-  
łącznie literackiej polszczyzny, tak?! Jasne?!

KAMIL:

A dyc sōm profesor Miodek niyroz tuplowoł, co godka ślōnsko to je yno ań-  
fachowy zort godki staropolskij. A powiydzie mi yno, po jakimu szrajbowoł



taki Kochanowski eli Rej? Po staropolsku, pra? Tõž po mojimu jo używõm yno literackij godki!

REŻYSER:

Kamil, litości! Ty mi tu nie filozofuj tylko gnaj po tego człowieka bo za piętnaście minut ruszamy z lajfem, tak?! Spójrz! Prowadzący już są na miejscu!

KAMIL:

Nale...

REŻYSER:

Pięć minut! Masz pięć minut, młodzieńcze i widzę tą chodzącą legendę przed kamerą na fotelu pomiędzy Darkiem a Tomkiem! Jasne?!

KAMIL:

Õ, Szkõt!

REŻYSER:

Jaki Szkot do jasnej cholery?!

KAMIL:

Pies, co mo trzi szlapy! Szkõt! Põdž sam, giždzie pierõński!

REŻYSER:

Kamil! Ty dokąd?! Stój!

KAMIL:

Nale Szkõt...

REŻYSER:

Albo się zajmiesz pracą albo fruniesz! Gość do studia! Teraz!

KAMIL:

Mõm gyfil, co to niy ma dobry idyj!

REŻYSER:

Kreację rzeczywistości zostaw mnie! Pięć minut Kamil! Pięć minut i legenda w studio albo ty wracasz pierwszym pociągami do tej swojej Rudy Śląskiej...

KAMIL:

Na Halymba...

REŻYSER:

Bezpowrotnie młodzieńcze! Ostatecznie i definitywnie, tak?!

KAMIL:

Dobra, już dobra. Skludza wõm tego chopa, nale cobyście yno niyskorzij niy wajali...

BINA DRUGO: Przedwczora

*Kamerlik we sztokowcu TVP. Szrajbtisz, dwa zesle, prosty fach, na ônym pora rubych buchōw. Producynt stoi wele okna i filuje w jakeś papiōry. Klupanie do dźwiry i rajn wlażuje Kamil.*

REŻYSER (trocha niypewnie, choby zamysłōny):

Tak?

KAMIL:

Wołaliście mie...

REŻYSER:

A tak tak! Ty jesteś Kamil Maślanka, prawda?

KAMIL:

Maślōnka...

REŻYSER:

Maślunka?

KAMIL:

Maślōnka...

REŻYSER:

Maślułka?

KAMIL:

Ma...ślōn...ka...

REŻYSER:

Ma...śloł...ka?

KAMIL:

Maślōnka!

REŻYSER:

Dobra! Skończmy z tym. Może po prostu Kamil, tak?

KAMIL:

Ja...

REŻYSER:

No tak. Właśnie... (*kuco*) Powiedz mi, Kamil, skąd ty się tu wziąłeś?...

KAMIL:

Ta frełka z dołu mi kosała sam przijś...

REŻYSER:

Myślałem raczej o tym skąd się wziąłeś w naszej redakcji?

KAMIL:

Nō, ganz normal. Z anōnsa... dołech ôdpedzyni i...

REŻYSER:

Uch... Ale skąd tu! W Warszawie?

KAMIL:

Z Halymby!

REŻYSER:

Nie do końca mi o to chodziło ale nieważne... A właściwie bardzo ważne, bo właśnie dlatego tu jesteśmy! Znaczy... Ty tu jesteś w tej chwili bo ja tu jestem zawsze...

KAMIL:

Ja...

REŻYSER:

Tak, ty! Słuchaj, Kamil! Krótco bo czas nagli! W czym rzecz... Od wczoraj jesteśmy w półfinale, tak? Masakra jakaś! Szok! Po czterdziestu latach, niemal tego samego dnia zagramy o finał z Niemcami... Rozumiesz!? Tak? Nie rozumiesz? Nieważne! Ja to pamiętam. Pamiętam tamten mecz, każdą minutę, każde podanie, każdą akcję! Ale to była jazda! Coś wspaniałego! Ty to pamiętasz?! Nie pamiętasz, bo jak... Ty masz teraz ile lat...?

KAMIL:

Dwajścia sztyry.

REŻYSER:

No! Czyli nie pamiętasz! Nie masz prawa tego pamiętać!

KAMIL:

Godali mi ô tym szpilu...

REŻYSER:

A ja to przeżyłem, młodzieńcze! Wiesz!? Na własne oczy! Tu! (*klepie sie we klata*) Głęboko, w sercu! Jeszcze dziś, kiedy sobie o tym pomyślę, mam ciary... Cholera! Tyle zabrakło! (*rozszyrzo palce, pokazuje wiele*) Tyle i byłby finał, tak?! Tyle zabrakło! Czujesz to, młodzieńcze? (*dźwigo ramienia wysoko i dziwo ôknym na Warszawa kajś na dole i modre niebo na wyrchu*) Finał mistrzostw Europy! Coś, o czym marzą pokolenia! Generacje! Narody całe oczekują! Bo piłka to przecież religia, tak?! Świętość! Liturgia i orgia razem! Teatr i misterium! Wojna i szaleństwo! (*wypuszczo z gorści kartki kere przodzij już fest popuczył; schylo sie i zbiyro do kupy*)

REŻYSER:

O czym myśmy to...

KAMIL:

Ô tym szpilu we siedymdziesiöntym szöstym...

REŻYSER:

A tak, tak! Więc słuchaj, Kamil! Bo ty jesteś ze Śląska, tak?

KAMIL:

Ja.

REŻYSER:

No właśnie! Od razu poznałem po akcencie! Pomyśleliśmy sobie w redakcji, że ten półfinał będzie wielkim świętem i że do studio musimy zaprosić kogoś niezwyklego, tak? Pierwsza myśl: trener tamtej jedenastki. No, ale on już niestety nie żyje... Wtedy zaczęliśmy rzucać nazwiska graczy z tamtej legendarnej jedenastki! Okazało się, że kilku znajduje się na drugim końcu świata, kilku innych już na tym lepszym ze światów. Po wyczerpaniu wszystkich możliwości została właściwie tylko jedna opcja. Jedyny z tamtej legendarnej jedenastki!

KAMIL:

Nale, co jo môm do tego?

REŻYSER:

Pojedziesz na Śląsk młodzieńcze. Znajdziesz tego człowieka i przywieziesz! Tu do Warszawy! Prosto do studia, tak? Dwa dni i ani minuty później! Proste...

KAMIL:

Ja. Gryfnie. Yno dalij niy wiym ô kogo sie tak rychtig rozchodzi?

REŻYSER:

O, święta ignorancjo! Nie słyszałeś nigdy nazwiska Kapol?!

BINA TRZECIO: dzisiaj

*Sztudio.*

SROKOWSKI:

„Co za wieczór, co za noc” jak śpiewała kiedyś Kora z Perfektem! Siódmy lipca, środa, godzina dwudziesta piętnaście! W to piękne słoneczne popołudnie ze studia TVP witają państwa bardzo serdecznie Dariusz Srokowski i...!

ŻYNIOK:

...i dobry wieczór!

SROKOWSKI:

Czterdzieści sześć lat temu, w stolicy Jugosławii stanęły naprzeciwko siebie jedenastki Polski i RFN. Tamten pamiętny półfinał w deszczowym Belgradzie rozstrzygnęły rzuty karne. A jak będzie dzisiaj?!

ŻYNIOK:

Ja mam nadzieję, Darku, że dzisiejszy pojedynek dostarczy nam równie potężną dawkę emocji, jeśli nie mniejszą!

SROKOWSKI:

Już niebawem połączymy się z naszymi komentatorami na londyńskim stadionie Wembley, Mateuszem Gaikiem i Maciejem Nieszczęsnym! Zanim to jednak nastąpi powitajmy w studiu jednego z bohaterów tamtego pamiętnego meczu, pana Gerarda Kapola!

ŻYNIOK:

A ponieważ jest to człowiek ze Śląska zaryzykuję twierdzenie, że tym razem nie będzie to tylko jedna truskawka na torcie ale cały tradycyjny śląski kołacz truskawkowy!

*Sztuba reżysera.*

REŻYSER:

Kamil! Chodź tu w tej chwili! Kto to jest?!

KAMIL:

Nō... Redachtōry i Acik!

REŻYSER:

Kto?

KAMIL:

Ôd lewyj: Srokowski, Żyniok i Kapol!

REŻYSER:

Gerard Kapol?

KAMIL:

No dyc! Gerhat Kapol! Chop, kierego kozaliście mi sam skludzić!

REŻYSER:

Gerard Kapol, członek tamtej znakomitej drużyny?

KAMIL:

Taaadam!

REŻYSER:

A możesz mi wytłumaczyć, w co ten facet jest ubrany?

KAMIL:

No dyć widzicie! Ańfachowy ancug... Skrõmnie nale szykownie...

REŻYSER:

Ten krój był modny w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku!

KAMIL:

Chop sie uwziõn, co tak bydzie zocnie!

REŻYSER:

Boże! Skąd on to wytrzasnął? Z wysypiska na Kampinoskiej?!

KAMIL:

Ze szranku we familoku na Dymbińsku!

REŻYSER:

Nooo, to właściwie wszystko tłumaczy! Żywy skansen!

*Sztudio.*

SROKOWSKI:

Panie Gerardzie, jest pan członkiem tamtej legendarnej jedenastki a dokładnie trzynastki. Krótko! Jak wyglądała pana droga na piłkarską Olimpię?

KAPOL:

Ja, chopy! Jo na żodnyj olimpiadzie niy gro! We siedymdziesiõntym drugim szpiolõch jeszcze w eLZeteSie Palowice. A sztyry roki dalij to jo już miolõch szlus z fusbalym bez tyn umfal...

SROKOWSKI:

No właśnie! Fascynująca jest ta historia pana peregrynacji z małych peryferyjnych boisk na stadiony świata! Porozmawiajmy o początkach pana kariery! Prześledźmy brawurową promocję z Ceklasowej drużyny przez ekstraklasę do gry w trykocie z orłem na piersi...

KAPOL:

Tresek ze adlerym miolõch zowdy...

ŻYNIOK:

O! Jakie to epickie!

KAPOL:

Ja! Mõj piyrszy fusbalklub to bõł Ôrzõł Palowice!

SROKOWSKI:

A później panie Gerardzie kolejne szczeble na drabinie do kariery! Pokonywane, dodajmy, w tempie iście sportowym.

ŻYNIOK:

Darku! Nie bójmy się tego twierdzenia, że był to taki trójskok wzwyż o tycze!

KAPOL:

Ja! Z Palowic trefiłem do Czerwiōnki, bo fedrowołem wtynczos na Dym-bińsku. Dali mi kwatyr we familoku to żech ani za dugo niy myndykowoł: mōm sie przebiyrać eli niy. Przodzij dziyń w dziyń ōziym kilōmyjtrōw na kole żech dupoł na gruba... Nale pōł roku dalij zaś mi prziszło rajzować, yno tōm razōm cugiyem na Rybnik. Przedali mie do ROWu za waszmaszina Świa-towit i blank nowe koło Huragan. ROW groł wtynczos we piyrszyj lidze to miołech se to fest w zocy. Nale hań tyż dugo niy pogrołech bo trzecigo aprila siedymdziesiōnego trzecigo szczeliłech tora Legii i ōd szlazu upōmniało sie ō mie Ministerstwo Ōbrony Narodowyj...

SROKOWSKI:

Otwarły sie zatem przed panem drzwi do gry w klubie przy Łazienkowskiej?

KAPOL:

Ja! Yhm... Dźwyrza klubu Śniardwy Ōrzysz! Pōł roku na polskim Sybirze! Niyskorzij bōły Czorni Radōm, Zawisza Bydgoszcz i yntliś Ślōnsk Wrocław. Tako pōńc po roztomajtych wojskowych manszaftach. Szpilołbych sie we eL-ZeteSie Palowice, to Jaruzelski by sie ō mie na zicher niy dowiedzioł.

SROKOWSKI:

Ale ta gra w klubach wojskowych dała panu szansę debiutu w reprezentacji...

KAPOL:

Za wiela to żech sie w tyj reprezyntacyji ani niy pogroł...

SROKOWSKI:

Tak. Wszyscy pamiętamy tą dramatyczną sytuację w ostatnim meczu sparin-gowym tuż przed wylotem na olimpiadę do Montrealu...

KAPOL:

Tela yno, co to niy bōł szpil reprezyntacyje yno Ślōnsk groł frojndszaftszipil ze takim jednym czeskim manszaftym spod Pardubic. Wycie, tako szworto zorta. Yno zaczōn sie szpil poszli my z takim pepikiym na presa. Miołech pe-cha, bo tyn paciulok bōł fest rozfechtowany i trefił mie w golynie wyszpano-wanōm gyrōm, gynał spodkiym gulera. No a ku tymu mōj feler: zapōmnio-łech wciepnōńc pod sztuce szyjnbanszuce. Knaga prasła choby sztrajhecla...

SROKOWSKI:

Potem szpital, długa rehabilitacja, i walka o powrót do wielkiej piłki, która trwała kilka lat...

*Sztuba reżysera.*

REŻYSER:

Czy na Śląsku wszyscy posługują się takim prymitywnym słownictwem?!

KAMIL:

Niy... Yno echt Ślōnzoki!

REŻYSER:

Tyle lat edukacji u podstaw i żadnych efektów...

KAMIL:

I trufōm, co tak ôstanie...

*Sztudio.*

SROKOWSKI:

Cofnijmy się jednak do wspomnień. Jak pan dziś, z perspektywy czasu postrzega tamto spotkanie w deszczowym Belgradzie?

KAPOL:

Ja!... Mocie recht! Powiyw wōm, gichało wtynczos bez dołki dziyń choby z fojerszpricy! Szpilplac bōł nasiōnkniōny choby szwam w badyhauzie...

SROKOWSKI:

E! Tak... Piękna metafora, panie Gerardzie. Wróćmy jednak do samego meczu. Można było zakładać, że reprezentacja RFN od samego początku przypuści frontalny atak chcąc ustawić sobie ten pojedynek już w pierwszych minutach...

KAPOL:

Ja! Gyna! Szturmowali nasza połówka szpilplacu sprōwnie i wartko choby we trzydziestym dziewiōntym...

SROKOWSKI (*kuco*):

Tak! Niemniej, polska obrona okazała się być bardzo szczelna a bramkarz w życiowej formie. Trzeba też przyznać, że w wielu sytuacjach dopisywało nam po prostu szczęście.

KAPOL:

No toć! Roz lata, dwa razy supek. Roz sie Hoeness luftnył, roz Vogts lutnōł tak, co na zicher jakigo ptoka w lufcie trefił. Bōnhof miōł sposobnoś sōm na sōm z tormanym, tela, co ôbklojznōł na mokryj trowie i bal trefił na aus! A! I jak Beckenbauer szczyłoł z winkla to sie bal niy dokuloł do tora yno stanył w ciaplycie!



*Sztuba reżysera.*

REŻYSER:

Przecież tego nikt nie zrozumie!

KAMIL:

Mocie recht! Niyhyrsko to spokopić, a ôsobliwie, kej ftoś sie niy zno na fusbalu! Nale sami musicie uznać, co chop sprawnie mianuje wszyski detajle a drobiozgi!

REŻYSER:

Jeszcze ty mi tu teraz bełkocz w tym swoim grubiańskim dialekcie! Wyjdź!

KAMIL:

To może jo...

REŻYSER:

Darek! Zróbcie coś zanim wejdziemy z transmisją, tak?! Zagadajcie tego człowieka! O! Już wiem! Może Tomek będzie w stanie coś dopowiedzieć?! Przecież grał kilka lat w Schalke! Tomek! Słyszysz mnie? Tomek! Spróbuj coś tłumaczyć!

*Sztudio.*

SROKOWSKI:

To była złota generacja a pana określano jako cudowne dziecko polskiego futbolu!

ŻYNIOK:

To było bogate pokolenie a pana definiowano jako wspaniałą pociechę dla polskiej piłki nożnej!

*Sztuba reżysera.*

REŻYSER:

Ja zaraz dostanę szału! Tomek! Ty masz tłumaczyć naszego gościa a nie to, co mówi Darek!

*Sztudio.*

KAPOL:

Jaaa! Padocie, jo szumny bajtel?! Żurnalisty roz za kej poradzōm beblać bez cweku. Nale rychtig! Mi sie zdo, co we „Robotniczyj”, jakiś świtniōny żurnalista coś takigo naszkryfloł. Tela yno, co jo bōł już wtynczos dwajścia ôziym rokōw stary!

ŻYNIOK:

Tak! Upadacie ja szumiące dziecko?! Dziennikarze raz za kiedy dają radę bełkotać bez pinezki! Ale prawidłowo! Mnie się zdaje, co w Robotniczej, jakiś kopnięty dziennikarz coś takiego narysował! Tyle, co ja byłem już w tym czasie stary, dwadzieścia osiem lat!

KAPOL:

Po jakimu tuplujecie moja godka?

ŻYNIOK:

Po jakiemu dublujecie moją gwarę?

*Sztuba reżysera.*

KAMIL:

Coś tymu waszemu redachtōrowi niy idzie tyn iberzicōng...

REŻYSER:

Nie wiem co do mnie mówisz ale chyba się tym razem muszę z tobą zgodzić... Tomek! Halo! Niech Darek prowadzi rozmowę. Mamy pięć minut do transmisji!

*Sztudio.*

SROKOWSKI:

Wróćmy do pana. Trener zdecydował się nie wystawiać pana w wyjściowym składzie. Jak pan myśli, dlaczego? Był pan przecież w tamtym czasie w fenomenalnej formie.

KAPOL:

Wycie... Tryner to bōło echt dobrocisko, nale tyż fest szusiaty a przy tymu pamiyntliwy. Stykło roz mu depnōńc na plynskyrz i sie miało popapane. A jo mioł taki jedne felerne przitrefiynie i to zarozki piyrszego dnia kej my yno przyjechali do tego Belgradu. Kwatyrowoł żech w jednyj sztubie z takim abwerszpilerym ze Zogłymbio Sosnowiec...

ŻYNIOK:

Tak! Przypomnijmy, panie Gerardzie! W tamtej kadrze trzon stanowili piłkarze ze Śląska!

KAPOL:

Ja! Zogłymbiok bōł już taki trocha ōswojōny. Trzi roki szpiloł we Tychach. No i tyn pierōn ani niy wiym kedy spatrzoł flaszceczka rakije. Po prowdzie to koždy z manszaftu sie tako lajstnōł na dziyń dobry, nale yno my mieli tyn unglik, co tryner gynał nōm wparził do sztuby. I ôto ôba mieli my forbaj. A tela, co my sie siedli po wieczery, zakurzili po cigarecie i znodli w wertiko kieluszki... Za wiela tyj rakije ani niy bōło, ledwo po achtliku na gowa. Nale powiym wōm, ôszkliwo bōła ta gorzołka. Tako ganz ańfachowo berbelōwa. Chyrtoń mi przepoliła aże godać niy szło. Zagłymbiok rzigoł w haźlu dalij jak widzioł a na drugi dziyń pōł manszaftu lazowało choby jake fantōmy...

ŻYNIOK:

Muszę się z panem zgodzić, choć obecnie w Chorwacji dostępne już są bardzo różnorodne, zarówno smakowo jak i gatunkowo rodzaje rakiji!

*Sztuba reżysera.*

REŻYSER:

A Jezus Maria!!! Co ten człowiek opowiada!

KAMIL:

Snadnie! Redachtōr musioł moc rajzować a poprōbować roztomajtyj gorzołki!

REŻYSER:

Ja mówię o tym twoim... Ekspercie!

KAMIL:

Ja! Musicie uznać, co chop mo ale perfektno pamiynć! Spamiyntać tela faktōw. Nic yno pokwolać! Przeca tyn tref bōł szterdziści szejś rokōw do zadku!

REŻYSER:

Jak tu nie mam zamiaru nic uznawać! Halo! Krzysiu! Za ile to wejście? A nie możemy dać jakichś reklam? Tak, teraz! Co? Cokolwiek, co zajmie czas do transmisji! Podpaski, szampon przeciwłupieżowy i pigułki na rozwolnienie!? A coś bardziej męskiego? Nie wiem! Piwo, karkówka, tabletki na erekcję?! Darku! Przerwij ten jego monolog! I Tomek też niech się lepiej już nie odzywa!

*Sztudio.*

SROKOWSKI:

Długo w tym meczu pan grał na ławce rezerwowych, ale w końcu trener zdecydował się skorzystać z pana usług?

KAPOL:

Ja, yntliś dostolech szansa. Tela, co ônaczyłech rozgrzywka ôdkõnd futbolrichter zapiskoł na drugo połówka szpilu...

ŻYNIOK:

Panie Gerardzie! Więc powiada pan, że jako prawdziwy profesjonalista prowadził pan intensywną rozgrzewkę żeby być gotowy w każdej chwili wejść na boisko?

KAPOL:

No dyc godõm! Sie pado rozgrzywka a jo bõłech wtynczos ale fest zmarźniynty!

SROKOWSKI:

Ale oto nadchodzi osiemdziesiąta dziewiąta minuta meczu i...

KAPOL:

Hyjsty cajt! Wela idzie tyrać na ausie bez cweku w takim dyszczu! Ôwerol wożył bodej ze piyndziesõnt fõntõw. Choby mi ftoś miech cymyntu zaciepnõł na plery!

SROKOWSKI:

...wchodzi pan na murawę...

KAPOL:

Ja! Yhm. Murawa! Istne barzoły!

SROKOWSKI:

...a chwilę potem sędzia kończy to spotkanie co zapowiadało dodatkowe trzydzieści minut czyli całe tysiąc osiemset sekund gry! A dokładnie pół godziny...

ŻYNIOK:

I to już była niestety ta faza meczu, kiedy przegrywający przegrywa!

*Sztuba reżysera.*

REŻYSER:

O żesz! Nie! Nie, nie, nie! Niech on nie zdejmuję tej marynarki! Tomek! Darek! Zróbcie coś z tym! No, nie wierzę! Po prostu w to nie wierzę! Jak to uzasadnisz?!

KAMIL:

Na zicher zõnaczyło mu sie gorko ôd tych srogich byrnõw we sztudio...

REŻYSER:

Ja mówię o tej koszulce pod marynarką!

KAMIL:

Tresek jak tresek. Bioły i bodej czysty! Fresz und zauber, jak sie to godo!

REŻYSER:

Ale ten orzełek na piersi...!

KAMIL:

Adler, ja? Jo mu padoł, co to je ale fałeszny ajnfal! Ale chop sie niy doł przegodać! Pado, co to je fest zocny gyszynk.

REŻYSER:

Koszulka reprezentacji Niemiec?!!!

KAMIL:

Ja! Gynał! Z hańtego szpilu! Tresek ôd samego Bernda Holzenbeina!

REŻYSER:

Ja się załamie! Dajcie przekaz ze stadionu! Co? Dopiero za pięć minut?! Przecież pięć minut temu było za pięć minut! To niech chociaż kamera nie pokazuje planu ogólnego! Tak! Tylko same twarze! Tylko twarze! No, przecież nie można zakazać mu się uśmiechać! Nie ma dwóch zębów? To studio już gorsze rzeczy widziało! To i tak lepsze niż koszulka reprezentacji Niemiec w TVP Sport!

KAMIL:

Jo wôm padoł, co to je ale fest ryskiyrõnek puszczać tego chopa na wizjo!

REŻYSER:

Milcz! Ty już lepiej milcz!

### *Sztudio*

SROKOWSKI:

Dogrywka nie przyniosła rozstrzygnięcia i potrzebne były rzuty karne a konkretnie cała seria rzutów karnych czyli pięć co razem daje nam dziesięć!

ŻYNIOK:

Przypomnijmy. Do karnych każda drużyna wyznacza pięciu graczy i bramkarza...

SROKOWSKI:

Pierwszych osiem strzałów było celnych co oznaczało, że żaden bramkarz nie popisał się obroną... Nadeszła zatem ostatnia kolejka...

KAPOL:

Tyn ôstatni elwer miał tak rychtig szczyłać Ziga, nale tak sie zmachoł lotanym za Bönhofym, co ôdkozoł na ôstatni driker. Szłapy mu tyrpało choby miał je zrychtowane z galertu. Ô tym, co byda szczyłoł dowiedziołech sie już hań, na pøjstrzodku szpilplacu. Niy powiy, lynkołech sie. Koždy elwer to srogo ôdpedzialnoś a tyn ôstatni to już tak bysztimt. Tym bardziej, co piyrszych ôziym wpadło do neca. Żodyn fusbalyrz sie niy pomylił. Przyszła moja raja. Widziołech co Majer przy każdym elwrze sie ciepie na bok. Wtynczos żech se uznoł, co ciulna ofyn w pøjstrzodek tora! Tōż biera bala i krocza do sztrafraumu. Stawiôm bala na wopnie. Filuja na nia i cofia sie aże za linijo. Dziwôm sie na Majera a Majer na mie. Choby dwa szauszpillery co grajôm we westernie. Biera fechtōng. Fusbalrichter pisko. Leca coraz gibcij po tym marasie, sztole mi sie topłajôm. Majer rozkłodo ramiynia, jo myndykuj: piznōńc na cołko para z kapy eli lekuśko falesznie z efyja? Jeszcze sztyry kroki. Kapa, efyj, efyj eli kapa... Dźwigôm szłapa, Majer ôdrywo sztole ôd linie, a jo już wiym, co niy bydzie ani kapy ani efyja. Tykôm bala szpanôm. Wyzgernie, z grajfkôm, fajniście... Rychtyczny majstersztik. Majer już furgo na prawica. Bal sie ôdrywo ôd zola, podrywo kympka trowy. Moja szłapa jeszcze w lufcie, a Majer już prasko do ciaplyty. Bal w połówce duchty do neca ciōngnie za sobôm kapki wody, kej kōmeta ôgōn... Mrōża ôczy, dyszcz już niy ziōmbi, dyszcz dowo folga i pocieszyni. Majer klojzdo choby srogo, modro szneka i dziwo sie stropiōny, jak citajôm nimieckie marzynia ô finale. Tulma na sztadiōnie robi coraz wyynksze larmo. Bal furgo wyso-ko, a jo sie skłoniôm zmachany... Majer sztopuje wsparty gowôm o supek... Ôto wszystko fertich. Już nic niy ma zoleźne ôd nos. Ôstały yno klarowne prawidła fizyki. Szwōng i grawitacyjo... Dwie sekōndy do neca... wszystko stanyło, yno tyn bal furgo... krōngło czorno-bioło paniynka... Sekōnda do finału... Już! I wtynczos bala tyko laty lekuśko, ôpaternie choby szmaterlok krzidlami luftu... Tyko, a niyskorzij furgo dalij... wyżyj... coraz wyżyj ku blyndôm, kapkôm dyszcza, cimokowi! Kajś fōrt... na aus... za sztadiōn... za horizōnt... aże na sôm kryś świotu i smyczy hań nasze marzynia...

*Sztuba reżysera.*

KAMIL:

Szkōt!

REŻYSER:

Wembley! Mamy połączenie! Darek! Wchodzimy z transmisją!

KAMIL:

Szkót tyro po sztudio!

REŻYSER:

A pies z nim! Darek, zapowiedź!

*Sztudio.*

SROKOWSKI:

Proszę państwa! Właśnie otrzymałem informację z reżyserki, że mamy połączenie z naszym sprawozdawcą na stadionie Wembley! Halo, Mateusz! Czy się słyszymy?

GAIK:

Dobry wieczór państwu! Dobry wieczór, Darku! Mam nadzieję że dla nas wszystkich ten wieczór okaże się bardzo, bardzo dobry! Za chwilę na murawie stadionu pojawią się piłkarze Polski i Niemiec. I że, podobnie jak ci, którzy grali w pamiętnym spotkaniu czterdzieści sześć lat temu także ci współcześni gladiatorzy piłki dostarczą nam niezapomnianych wrażeń i emocji!

SROKOWSKI:

Mateusz! Ja myślę, że dziś cała Polska żyje tym wielkim sportowym wydarzeniem! Usiądźmy zatem wygodnie i razem z naszymi telewizorami śledźmy to widowisko!

KAPOL:

A po mie szczyłół Hoeness. I trefił... Tyn ôstatni elwer...

*Sztuba reżysera.*

REŻYSER:

Uffff... Możesz mi powiedzieć, co to miało być?

KAMIL:

Rozchodzi sie wôm ô ta cołko godka?

REŻYSER:

O tym już nawet nie mam siły dyskutować. Chodzi mi o tego człowieka...

KAMIL:

To wyście skozali ônego sam skludzić...

REŻYSER:

To jest jakieś nieporozumienie! Miała być gwiazda, a ty sprowadziłeś do studia wyrzutka społecznego!

KAMIL:

Przeca wszystko sztimuje! Miał być Acik Kapol i je! Tela yno co ôn już dzisiej niy ma żodyn srogi fusbalyrz yno blank ańfachowo persôna...

BINA CZWORTO: na drugi dziyń

*Auto, kere jedzie gerkôwkôm na Ślônsk. Szoferuje Kamil. Ze zadku zico Gerhat Kapol i trzimie na klinie Szkôta.*

KAPOL:

Elwer! Ja. Tak na mie godajôm i mie to niy gorszy! Żyja jak żyja i to je moje żywobyci! Wiysz, mody... Niykej se forszteluja, fto jo to niy mōg być. Niy wiym, iże bych trefił wtynczos do neca gralibymy ô majstra. Można ja, a można niy. Można by my grali i ôstali majstrym a można niy. Można bych zagroł w tym ôstatnim szpilu, a potym zawiesił na karku goldmedal. I można dalij grołbych pora rokôw kajś, w jakim srogim manszafcie we Francycji, Efie eli Angliji. Niyskorzij ôstołbych trynerym, postawił chałpa, poznoł jako gryfno frelka, miał familijo i zocność... A na starość pynzyjo. Nale niy trefilech. Ôstali my na szwortym placu. Wyjechali ze Jugosławje bez medalu. A można, kebych trefił tyn ôstatni elwer, pojechałbych na ta ôlimpiada a niy z drugim manszaftym Ślônska do Czechôw? Można keby mi ta moja gyra słożył jakiś echt dochtôr a niy felczer? Tak mi słożył knaga, co lazować dobrze niy szło a co dziepiyro tyrać za balôm. Jedna ôperacyjo, drugo. Piekary, Repty, a czas pitoł. Ze Ślônska sie mie pozbyli, ROW furgnôł do drugij ligi i niy chcioł ańfachowego szpotlawego szmaterloka a kolybocza. Na gruba mie niy przijyni bo komisyyjo dała abszlag. Bez fachu i ajnfalu na żywobyci trefilech nazod do Palowic. Znodłech robota u fesztra a zwyk... Terozki już niy ślepiea nale bôł czas, co niy krzyżwiołech tydniami... Straciłech dôm po fatrach... straciłech kwatyr we familoku, straciłech zymby i przocieli. Kôńcym straciłech sôm do sia zoca i reszpekt. Keby niy szwester we Dymbiynsku fto wiym, co kaj bych dzisiej bôł... Tak to je mody. Jedyn tref, cufal i abo żeś je po widnyj strônie abo w czornyj rzici... Abo bal leci do neca abo furgo na aus a ty wroz z nim. Bôłżeś ftoś, a jeżeś żodyn. Taki rychtiś elwer. Ôstatni elwer...



# SEKRETNE ŻYWOBYCIE ÔD MELANIE K.

Monika Kassner

CZAS A PLAC: Może sie trefić wszyndzie a zówdy

PERZŌNY:

MELANIA (Mela) KRŌL  
RAJMUND KRŌL (chop ôd Melanie)  
CERA ôd MELANIE a RAJMUNDA, tyż MELA  
ROUZA, GRYJTA (kamratki ôd Melanie)  
SYNDZIA  
KELNER  
NIYZNAJŌMY CHOP WE SZYNKU  
SYNEK PRZED DŹWIERZAMI

BINA I

*Stolik we kafyju na trzy perzŏny, na blacie bŏnkawa, kołŏcz a gorzŏlka*

ROUZA:

Niy gŏdej, Mela... Toć to gizd pierŏnowy, tyn Rajmund... Po jakimu ȃn cie mŏg tak ȃstawić?

GRYJTA:

I jeszcze bajtle wziŏn... Niy ma co gŏdać. Ôchyntol i tyla.

MELA (*šlimtŏ*):

A ȃbiecywoł, co mje niy ȃstawi, choby niy wiadŏmo co... Wszystko zniesie, ino mȃm mu przŏć. Jŏ mu wierzyła w kŏŹde słowo, a ȃn mje tak zdradził. Niy daruja mu tygo (*Mela šlimntŏ jeszcze głošnij*).

ROUZA:

Szluknij sie, dzioucha, gorzŏłki, dobrze robi na złȃmane serce. Zapȃmnisz aby na chwila.

MELA (*ryczy*):

Niy zapȃmna! Niczego mu niy zapȃmna!

*Narōž ôkno, wele kerego siedzōm kamratki, ôtwierō sie, a z placu fest wieje,  
aże duje.*

KELNER (*siłuje sie ze ôknym*):

Moga wōs, frele, przeprosić, bo niy poradza zawrzić tygo diōseckigo ôkna.  
(*Zawierō ôkno a krynci gowōm*) Ki pierōn, przeca gōdali we pogodzie, co  
dzisiej mō być na placu sztil.

## BINA II

*Sala sōndu. Melania i Rajmund bierōm szajdung*

SYNDZIA (*do Rajmunda*):

Co podug wōs mō być powodym do szajdungu?

RAJMUND (*stōwō*):

Srogi sōndzie, po prōwdzie to jō niy wiym, z kim zech sie żenił. Kej my zōly-  
cili, ôna mje jakośkej ômamiła. Ôgupiōł zech za niōm. Bezmaść cosik mi sie  
zwidziało. A ôna mje tak ôszkliwie ôcyganiła. Skryła, co...

MELA (*sie wrtyniō*):

Srogi sōndzie. Niczego zech niy kryła. Gōdałach, co byda mieć ino jedna ta-  
jemnica i (*blikō na Rajmunda*) i żeś sie na to godził. Aże do terōzki...

RAJMUND:

Srogi sōndzie. Jō myśłoł, co ôna mje robi za bōzna, a tukej rōz na miysiōnc,  
we so...

MELA (*zaś sie wtryniō*):

Fanzolisz choby potuczōny! Cosik żeś mi przysiyngoł, a potym żeś ta przy-  
siynga złōmoł. To niy je moja wina, co nasze małżeństwo sie rozleciało, ino  
twoja!

SYNDZIA:

Jeszcze rōz wtrynicie sie chopu, bydymy sōndzić bez wōs. W małżeństwie  
ani chop, ani baba niy powinni mieć przed sobōm żōdnych sekretōw. (*Blikō  
na Rajmunda*) Jakie mōcie jeszcze zastrzeżeniō do swojij baby?

RAJMUND:

Zażyczyla sie badysalōn z festelnōm badywannōm postrzodku, nale ino do  
sia. Żōdyn niy mioł tam wstympu. Znosiła do dōm rōztōmajte zioła a blumy:  
kamelki, chlybik, macierzōnka, zimzielōnek i kupa inkszygo zielska. Kej je

suszyła, tak woniało, co niy szło dychać. Ino kupa marasu a ôstudy. Róż, skiż tych blumów, synek by nôm sie struł, aże po erka trza bôło zwōnić, bo sie narychtował śnich tyj na kucaniy.

MELA (*ryczy a ślimtō*):

Niyprōwda! Ôn cygani!

SYNDZIA:

Już my dość tukej słyszeli. Terōzki wyleziecie, a sōnd za dwajścia minut ôgłosy wyrok.

### BINA III

*Rajmund a Mela włożōm nazōt do sale rozpraw*

SYNDZIA:

Ôgłoszōmy szajdung Melanie a Rajmunda Krōlōw. Skuli niyzrōwnowazōnygo charakteru Melanie Krōl decyzyjōm sōndu bajtle Alojz, Hajnel a Mela ôstajōm przy ôjcu.

MELA:

Kiedy byda sie śnimi widywać?

SYNDZIA:

Melania Krōl dostōwō kuratora, co bez pōł roku bydzie wachowōł, abo ôna sie już może z bajtlami trefić abo jeszcze niy.

MELA (*zrywō sie a ryczy*):

Niy daruja wōm tygo! Niy daruja!

*Narōz ôtwierō sie nojsrogsze ôkno we sali, a z placu fest duje. Szrajbniōny bez syndziygo wyrok furgo bez ôkno, syndzia retuje reszta papiōrōw, Rajmund robi gupiō afa, a Mela trzaskō dźwierzami ze sali rozpraw i wylazi.*

### BINA IV

*W dōma u Mele na trefie z kamratkami*

ROUZA:

Nale po jakimu zakōzali ci sie widzieć z bajtlami? Przeca tyś nic niy napochała. To sōnd tak może?

MELA:

Na to wyglōndō. Syndzia jeszcze pedzioł, co baba mō być ôdpowiedzialnō a akuratnō, a niy lōtać bele kaj bez pozwolyniō swojigo ślubnygo.

ROUZA:

Tyn syndzia to musioł być bezmaść jaki fundamyntalista.

MELA:

Raczyj szowinista.

Gryjta: Kaj tam, ôn na zicher bōł z tygo nowygo KRS.

ROUZA:

Te sōm nojgorsze. Władza jim richtich na dekel pizła i wszystkich abo wszystkie po kōntach rozstōwajōm. Kejby trefiło na baba, Rajmund miołby sie z pyszna.

MELA:

Niy gōdej. Niykere sōm gorsze ôd chopōw. Chcōm sie partyji przychlebić. Myślōm, co jich doceniōm. Nale to tak niy działo. Przydzie chop i takij babie gibko pokōże, kaj je jiy plac.

ROUZA:

Niy mogymy już decydować ô swoim cielem ani bodej ô tym, co z niygo wy-lazło. Niy spodziewałach sie, co w dwudziestym piyrszym storoczcu dożyja czasōw choby w średniowieczu.

MELA:

Ôstōw średniowiecze. Ôwdy myśleli praktycznie.

ROUZA:

Padosz?

MELA:

Na tyła, na wiyla umieli.

GRYJTA:

Dejcie pokōj. Przeca wiysz, co w sprawie średniowieczo z Melōm niy wygrōsz. Trza sie szluknōńc czego na znyrwowaniy, bo na trzyżwo tygo cołkiy-go bajzlu niy idzie strzimać.

*Rajmund pije w szynku. Do chycōnygo przysiadō sie niyznajōmy chop.  
Na stole sznaps, a do tygo flaszka gorzōły*

NIEZNAJŌMY CHOP:

Idzie sie sam siednōnc?

RAJMUND:

Kej niy ma inkszygo placu.

NIEZNAJŌMY CHOP (*rozglōndō sie po szynku*):

No, niy ma.

*Rajmund dōwō znak rynkōm, co mō sie siednōnc.*

CHOP:

Pijecie na smutno?

RAJMUND:

Psinco wōm do tygo.

CHOP:

Mōcie recht. Psinco mi do tygo, nale kej człowiek sie wygōdō, to mu sie na sercu lżyj poradzi zrobić. Niy znōm wos, wy mje niy znōcie. Żōdnymu nic niy powiym, bo i po co.

RAJMUND (*pije sznapsa*):

Niy zrozumiecie. Żōdyn mje niy rozumi.

CHOP:

Tusza, co idzie ô jakoś baba.

RAJMUND:

Żeby ino ô baba. Idzie ô cołkie moje żywobycie.

CHOP:

Ze tōm babom?

RAJMUND:

I z bajtlami.

CHOP:

Kej sōm bajtle, żōdyn niy je wygrany.

RAJMUND:

Kej zech jōm poznoł, bōła choby niy z tyj ziymi. Choby jaki janioł... Blōnd wele, bioło skōra, aże szło oślypnōnc. A jakie ciało, niy dōcie wiary. Kōždy mi jiy zōwiścił.

CHOP:

Przajecie jiy?

RAJMUND:

Fest jiy przaja, nale ôna mō jedna tajemnica.

CHOP:

Przaje inkszymu?

RAJMUND:

A kaj!

*Za kōżdym razym, zanim Rajmund padō „A kaj”, nalewō ôbu gorzōłki i potym pijōm jedna raja.*

CHOP:

Jedyn skok w bok?

RAJMUND:

A kaj!

CHOP (*zdziwiony*):

Niy chce bajtli widzieć?

RAJMUND:

A kaj!

CHOP:

Ôna je chop.

RAJMUND:

Gorzij!

CHOP:

Gorzij już być niy może.

RAJMUND (*ledwo stōwō na gyry i zaś nalywō*):

A może.

CHOP:

Po jakimu?

RAJMUND:

Rōz na miysiōnc zawierō sie w badysalōnie i sie kōmpie.

CHOP:

Ino róż na miysiōnc? To sie wōm niy dziwia, tyż bych niy strzimoł.

RAJMUND:

Fanzolicie... Róż na miysiōnc sie zawierō, a żōdnygo do sia niy dopuszczō.

CHOP:

Jō tyż niy lubia, kej mi baba zawōdzō, jak sie tuszuja. Kōždy potrzebuje in-  
tymności.

RAJMUND (*zeszterowany*):

Nale ōna sie przemieniō!

CHOP:

Niy ma dziwne, kej sie kōmpie róż na miysiōnc. Na zicher musi potym inak-  
szyj wyglōndać... no i wōniać.

RAJMUND (*fest zeshterowany, nalewō jedyn sznaps po drugim*):

Niy spokopisz... ōna sie przemieniō w s... (*Ōżarty Rajmund padō na pysk*)

CHOP:

W co?

RAJMUND (*leży na stole*):

W s... (*i zasypio*)

CHOP (*kiwō gowōm*):

Co za pofyrtany karlus. Terōzki to ludzie sie nijak niy poradzōm dogōdać.  
Z byle gupoty zarōzki bierōm szajdung. Trza sie ino czynścij myć.

## BINA VI

*Mela na wieczōr siedzi w dōma. Ftoś zwōni do dźwiyrzy. Mela ōtwierō.*

*Na progu stojōm Rajmund ze cerom Melōm.*

RAJMUND:

Przywiōz zech ci ta twoja cera.

MELA:

Przeca gibko niy miałach jij widzieć.

RAJMUND (*wpychō cera rajn*):

Weż sie jōm. Taki sōm dziwolōng kej ty.

MELA:

I to mō być tyn dobry a ōdpowiedzialny ōjciec, co ani swoim bajtlōm niy  
przaje? (*Małō przytulō sie do matki a ślimtō*) Pōdź, kociku, żōdyn ci już niy

ukrzywdzi. Ôstaniesz u mje i żodyn niy bydzie nôm gôdoł jak żyć. (*do Rajmunda*) Chopcy zdrowe?

RAJMUND:

Ja, ino ôna je chorô.

MELA:

To niy je żodnô choroba, stary gupieloku. To je przeznaczenie.

RAJMUND:

Mianuj sie to, kej chcesz. Do mje to je niyhigieniczne a ôszkliwe.

MELA:

Już lepij nic niy gôdej a ciś do dôm. Chopcy czekajôm.

*Rajmund ôstawiô cera i wylazi bez słowa.*

## BINA VII

*Mela sadzô cera na pryku i przytulô.*

MELA:

Pamiyntyj, niy je żeś ani chorô, ani żodyn z ciebie dziwolông.

CERA:

Nale inksze dziouchy tygo niy majôm. Sôm już we klasie takie, co miysiônczka dostały, nale to co mje, żodnyj sie jeszcze niy przytrefiło.

MELA:

I niy przytrefi. To majôm ino baby z naszymy familije i to ino te nojstarsze. Przytrefiô sie to jim rôz na miysiônc. Ino żodyn, bodej ślubny, niy może ô tym wydzieć ani tygo widzieć.

CERA:

Beztô môsz badysalôn ino do sia?

MELA:

Genau. Nale za kôždym razym nic to niy dôwo, bo kej ôdchowiemy bajtle, przydzie dziyń, co nasz ślubny niy strzimie a kuknie bez dziurka ôd klucza i ôbejrzy, co je lous. Wtynczôs musimy sie wykludzić i do końca naszego żywobyciô być same. Bez chopa i bez bajtli.

CERA (*ślimtô*):

Jô tak niy chca. Idzie to jakoś ôbyńść, ôcyganić tyn nasz los?



MELA:

Sôm dwa wyjścia: abo ôstaniesz singielkôm, abo twôj chop niy bydzie sie mianowoł Rajmund, bo inakszyj je żeś stracônô.

CERA:

Niy spokopia. Wytuplikujcie mi to.

MELA:

Seblecz sie, pōdź do kuchni, przyrchtuja tyju.

*Mela z cerôm we kuchni. Cera siedzi wele stoła, Mela rychtuje tyj, stawio przed dziouchôm i siadô naprzeciw.*

MELA:

My sie po prôwdzie niy mianujymy Melaniye ino Meluzyny.

CERA:

Padôcie Meluzyny? Gryfne miano. Bo mje ta Mela już zmierzła.

MELA:

Nale żôdnymu niy gôdej. Żôdyn niy może ô tym wydzieć. To je naszô tajemnica.

CERA:

Po jakimu?

MELA:

To suchej, co ci powiem. We średniowieczu naszô praprapra ôma trefiła rôz jednygo Rajmunda, pōna z Lusignan we Francyi. I kej ino go uwidziała, zarôzki zacła mu przôć. Mogła sie śnim ôżenić, nale rôz na miysiônc w srogim sekrecie zawierała sie we swojij izbie. Kômpała sie i ôwdy wyrôstoł jii srogi ôgôn choby u fisza. Nojsomprzôd Rajmund sie na wszystko zgadzoł, nale potym zaczon jôm ô cosik podejrzewać. Znokwił, co ôna na zicher mō inkszygo chopa, a tygo by niy strzimoł. Beztô rôz zajrzoł do badysalônu bez dziurka ôd klucza i wtynczôs zobôczył...

CERA:

To samo co nasz fater u wôs.

MELA:

Genau. I to samo sie pomyśłoł, co tyn Rajmund pora storoczy nazôt. Ksiônże pôn snokwił, co sie wziôn dziobła abo jakoś inkszo szkarada i wyciep Meluzyna z dôma, a bajtle ôstawił przy siebie. Ôd tygo czasu kôżdô z nôs, kej znôjdzie jakigo Rajmunda, je stracônô na amynt.

CERA:

To dobrze, co mōj absztyfikant niy je Rajmund. Zresztōm u nōs we szkole niy ma żodnygo Rajmunda. Mōj sie mianuje Daniel.

MELA:

Gryfne miano.

*Zwonek do dźwiryzy. Mela ôtwierō zamaszyście, bo myśli,  
co Rajmund przyszoł nazōt.*

SYNEK PRZED DŹWIYRZAMI:

Dobry dziyń. Je u wōs Mela?

MELA:

Dobry dziyń. Ja, jest. A tyś je można tyn jij kamrat Daniel?

SYNEK PRZED DŹWIYRZAMI:

Wyście sōm ôd nij muter, pra?

MELA:

Toć.

SYNEK PRZED DŹWIYRZAMI:

Fest mi miło wōs poznać. Jō sie mianuja Daniel. Daniel Rajmundziok.

# CIOTKA WICHTA

KRZYSZTOF KOKOT

OSOBY:

CIOTKA WICHTA starsza pani, pacjentka szpitala

IGNAC pracownik prosektorium

KAROLINKA młoda korpulentna salowa

SIOSTRA ODDZIAŁOWA w średnim wieku

KARAWANIARZ I

KARAWANIARZ II

2021

SCENA 1

*Pomieszczenie prosektorium w słabym świetle. Na środku masywne biurko z zaświeconą lampą. Na nim porozrzucone papiery, pieczętki, długopisy. Może być segregator lub laptop. Kubek z herbatą. Za biurkiem na ścianie wisi apteczka.*

*Z boku – oddzielona parawanem – kozetka, na której leży postać ludzka, przykryta białym prześcieradłem. Po chwili ciszy na scenę wchodzi Ignac ubrany w zielony/granatowy fartuch. Siada przy biurku, ściąga maseczkę, pije łyk z kubka. Wtedy zauważa kozetkę.*

IGNAC:

No, niy! Człowiek niy może ani na chwila do haźla wyłyżć, bo już mu jakegoś zimnego podciepnōm. Kaj sōm jakeś papiory? Świadcetwo zgonu? Juzaś trza sie bydzie z oddziałowōm użyrać. Przeca tak ni może być!

*Bierze ze złością telefon do ręki, wybija numer i czeka na połączenie. Po chwili...*

Cześć, Charon, jest turysta do wziyncio... Niy, ancuga ni ma, niy, żodnych łachōw...

Pewnie rodzina doniesie. OK!

*Odkłada słuchawkę. Wyciąga i otwiera gazetę i zaczyna czytać zasłonięty dla widzów.*

*Po chwili postać na kozetce porusza się. Powoli podnosi się, siada skulona z zimna i cicho wstaje. Podchodzi do biurka.*

CIOTKA WICHTA:

Coś tu zimno macie na tym oddziale. Mogą się szluknąć trochę ciepłego tego?

*Ignac opuszcza gazetę i krzycząc z przerażenia – spada z krzesła pod biurko.*

Coż tak wrzeszczysz, ino się łykna. Przeca ci nie ubędzie. Nie masz czegoś, żebyś się zaciepła na kości? Zmarzłach, bo ta deka tak lichota.

IGNAC:

To wy życie? Nie, to niemożliwe, żeby...

CIOTKA WICHTA:

Co jest, synek, niemożliwe? W szpitalu przeca lyczom, no nie?

IGNAC:

No ja, no niby tak może być, ale...

CIOTKA WICHTA:

Wstawaj z tych dylin, bo wilka dostaniesz i daj mi coś do obłeczynio.

IGNAC *podchodząc do wieszaka:*

Tu mōm jakieś fortuchy i cieplejszo jakła, jak musza włożyć do chłodni.

*Podaje Ciotce, ta ubiera się bez pośpiechu.*

CIOTKA WICHTA:

Widzisz, zarozki inaczej... Czymu tu nie grzejecie na tym oddziale? Wiem, wiem, wōngel drogi, sztrōm drogi, wszyndzie ino szporujōm i szporujōm.

IGNAC:

Może ja postawia wody i robią wōm szolka kawy. Rozgrzejecie się.

*Przygotowuje kawę.*

CIOTKA WICHTA:

Nie wiem, synek, wiele godzin, bo żech się zdrzymła. Po południu już kawy nie piją, bo potem nie mogą usnąć.

IGNAC:

Już jest po dwanostyj.

CIOTKA WICHTA:

A to jeszcze moga!

IGNAC:

Ale po dwanostyj w nocy!

CIOTKA WICHTA:

Co ty godosz? To jo tak dugo spała?

IGNAC *przynosi kawę i stawia na biurku:*

Tu mocie kawa, muszemy jakoś przetrzymać do rana.

CIOTKA WICHTA:

Dej jeszcze trocha cukru, ni moga jakoś gorzkij pić, choć mōm cukrzyca.

Godajōm, że starczo, toż daja sie tyła cukru, że mi starczo. *śmiech*

IGNAC:

Tu mōm jeszcze trocha kołocza z ôstatniego pog... Jydzcie!

CIOTKA WICHTA *częstując się:*

Dobry kołocz. Na oddziale – kaj żech leżała – niy dowali kołocza.

IGNAC:

A skond, żeście sie tu... pani...

CIOTKA WICHTA:

Godej mi „ciotka Wichta”. Tak do mie wszyscy na oddziale godali.

IGNAC:

Toż powiydźcie mi, ciotko, skond wyście sie tukej wziyni?

CIOTKA WICHTA:

Żebych to jo wiedziała!

IGNAC:

Jak to niy wiycie?

CIOTKA WICHTA:

A skond mōm synek wiedzieć, niy było sie kogo spytać.

IGNAC:

Toż poczkojcie kapka, zaroz sie coś dowiemy.

*Bierze telefon*

Halo, geriatra? Wyście mi tu podciepli pani Wiktoria? Co? Jak to ni ma oddziału? Aha, covid padocie. Jakby sie znodły to mi podciepie, no....bo

wiecie bez papiōrów to ni moga wydać firmie. U mie musi wszystko grać. Ale suchejcie... Już dupła suchawkom!

CIOTKA WICHTA:

I co?

IGNAC (z przekąsem):

Wyglōndo, że wos wypisali!

CIOTKA WICHTA:

Niy godej, tak bez łachōw? W samyj koszuli?

IGNAC:

Pojdźcie sie, bo niy wiym kedy to sie wyklaruje. Ta istno, chyba salowo, godała, że oddział popołedniu przeniyśli, chorych porozwozili i rychtujōm tam zakaźny dlo covidowcōw. Mo być fertig na rano, majōm urwanie gowy.

*Wstaje i zamyślony chodzi po scenie.*

Powiydźcie mi ino, ciotko, a mo Wos fto ôdebrać z lazarytu? Mocie kogoś?

CIOTKA WICHTA:

A kaj tam, ni mōm żodnego. Miyszkōm w ańcli sama.

IGNAC:

A jakiś numer telefonu?

CIOTKA WICHTA:

Niy, ni mōm.

IGNAC:

Pewnikym bydōm mieli w dyżurce u oddziałowyj, ôbejrzymy. To sie nōm musi wyklarować.

*Pukanie. Wchodzi korpulentna salowa Karolinka z papierami w dłoni.*

*Na twarzy przyłbica.*

KAROLINKA *wesoło od progu:*

Dobry wieczōr, Ignac, choć powinno sie chyba pedzieć: dobranoc! Prziniośłach papiōry od pani Wiktorii, fajno z nij była pacjentka, wesoło... Tu mōm karta zgonu...

*W tym momencie zobaczyła ciotkę Wichtę pijącą kawę i Ignaca.*

W Imie Ojca i Ducha...

*Mdleje, osuwa się na scenę, a papiery z ręki rozlatują się po prosektorium.  
Ignac i ciotka Wichta wstają z krzeseł i podbiegają, by ją ratować. Cucą i powoli  
kładą na kozetce.*

IGNAC:

Może jo tu kaś mōm coś na uspokojynie, abo kropki na serce?

*Biegnie ku apteczce, która okazuje się pusta. Jedyne stoi tam flaszka wódki  
i bańki.*

*Łapie butelkę i podbiega do leżącej Karolinki. Nalewa do bańki.*

CIOTKA WICHTA:

Dyć ji nojpiyrw ściōngnij ta maska z gymby!

*Odsuwają przyłbicę, prowadzą w stronę kozetki. Karolinka wypija lekarstwo  
i osłabiona pada na kozetkę. Ciotka Wichta przykrywa ją białym prześcieradłem,  
a po chwili razem z Ignacem – po odłożeniu flaszki i bańki na biurko – zbierają  
rozrzucone papiery.*

*Ciotka spogląda na dokument, który akurat ma w ręce...*

CIOTKA WICHTA:

Dyć to moja... Tu pisze karta zgonu! Nic niy rozumia!

*Do Ignaca. W wyciągniętej ręce dokument.*

Powidz no, to jo żyja, czy zech umarła? A to wszystko wkoło mie, to życie...  
pozagrobowe?

IGNAC:

Sōm niy wiym. Ponoć w pisane trza wierzyć.

CIOTKA WICHTA:

Toż kaj jo teraz jest? Może tyś tyż jest umarłok?

IGNAC:

Chyba niy, bo moich papiōrów tu ni ma.

*Podchodzi do leżącej Karolinki, nachyla się nad nią.*

Śpi, równo dycho. To dobrze, niych sie biydoka trocha uspokoi.

CIOTKA WICHTA:

To może byś mi tyż naloł ździebko gorzołki, bo mie tyż nerwy trzynsôm.  
Mosz kaś drugi keliszek? Tyn jakiś felerny, bo sie ôbolo.

IGNAC:

Tukej ni môm keliszkôw, bo by gupio wyglôndało. Tu sie pije z baniek.

CIOTKA WICHTA:

Ino niy godej, że z takich na mlyko!

IGNAC:

A kaj tam. Tu jest służba zdrowia i my pijmy z baniek lyczniczych.

CIOTKA WICHTA:

Dyć ich niy idzie postawić...

IGNAC:

I ô to chodzi, abo pijmy, abo niy. Każdy trzimo swoja w rynce. Żodyn niy jest poszkodowany, a przy tym jest bezpiecznie. Jedyn sie ôd drugigo niy zarazi.

CIOTKA WICHTA:

Toż dej mi tako bańka i nalyj kapka.

*Ignac wyciąga z apteczki bańkę i nalewa.*

Dość, dość, niy tak dużo... żeby niy było zbyt wiele, jak na niyboszczyka.

*Śmieją się, Ignac nalewa jeszcze po kropelce, a w tejże chwili wchodzi na scenę od strony kozetki dwóch czarno ubranych osobników z własnymi noszami.*

KARAWANIARZ I:

Dobry... my z biura podróży po turystka.

*Bez chwili zwłoki rozkładają nosze.*

IGNAC:

Panowie, podyńdźcie ino tu ku nôm, bo chca wôm coś pedzieć. Zaszła...

*Karawaniarze nie słuchają, tylko zabierają się do przenoszenia leżącej Karolinki.  
Jeden wielki krzyk. Karolinka podnosi się, a sztywni ze strachu pracownicy  
zakładu pogrzebowego uciekają w stronę biurka.*

Przeca wôm godôm, abyście tu prziszli, bo sôm drobne zmiany. Łyknijcie sie po jednym, bo inaczej nic do was niy dotre.



*Wyciąga kolejne bańki z apteczki i nalewa po kapeczce. Wychylają.*

KARAWANIARZ II:

Jake niby drobne zmiany? Niyboszczyk jest, abo go ni ma.

CIOTKA WICHTA:

No to te druge, ni ma niyboszczyka. O!

KARAWANIARZ I:

No, a kaj jest?

CIOTKA WICHTA:

Tu. *pokazując na siebie*

IGNAC:

Chopy, powiydźcie Charonowi, że tym razym ni ma turysty. Inkszym razym pogodomy. Toż mocie jeszcze po jednym i jak coś bydzie, zaroz dōm Wōm znać. Niy gorszcie sie, karlusy.

*Ignac nalewa, karawaniarze wypijają i idą w do wyjścia.*

KAROLINKA *podchodząc na środek sceny*:

Ô jakich wy turystach godocie, gizdy pierońske, chachary! Mało co, a bych sie przez wos przekopyrtła na tamtyn świat!

KARAWANIARZ I:

Wyboczcie, my sie tyż wylynkli. A ô naszym zakładzie godōmy biuro turystyczne, bo to fajnij sie sucho, no niy?

KAROLINKA:

Jak to?

KARAWANIARZ II:

„Rajzybiōro ôd Charona, ino w jedna strona”. Idymy, pōdź już, przeca momy kupa roboty bez tego covida.

KARAWANIARZ I:

Ciōngnymy na trzi zmiany. W cyntrali sie ani niy kapnōm, że prziwiezymy jednego mynij. Toż bywejcie.

KARAWANIARZ II:

Ale, żeby niyboszczyk sie straciył, tego niy rozumia?

IGNAC:

Tu ni ma nic do rozumiynio. Take jest życie... pozagrobowe.

*Zabierają nosze i wychodzą. Chwila ciszy.*

KAROLINKA:

Jak to było? „Rajzybiōro ôd Charona, ino w jedna strona”. I to tak sie leko pedzioł, jakby to mioł być wic!

IGNAC:

To niy wic, to życie i ino sie cieszyć. No niy, ciotko?

CIOTKA WICHTA:

Dziynki Bogu, ale powiydz, jak to sie mogło stać? Dyc niby momy medycyna nojlepszo na świecie!

IGNAC *z uśmiechem*:

Widzicie, starajōm sie jak mogōm, ale czasym coś niy wyńdzie i pacjynt przeżyje.

KAROLINKA:

Wygupiosz sie, a co jo mōm pedzieć, jak przida na oddział?

IGNAC:

Jak sie przenosicie, to już może niy być do kogo godać.

KAROLINKA:

Przenoszymy ino chorych i to kaj popadnie, bo tyn oddział zakaźny musi ôd jutra sztartnonć. Bez to sie to przidarzyło. Bajzel, ranżyrowanie tymi pieronowymi łōżkami, to do sanitarki, to do windy...

CIOTKA WICHTA:

To do kostnicy.

KAROLINKA:

Niy godejcie tak, pani Wiktorio. Płakać mi sie chce. Taki wstyd, tako gańba! Pewnikym mie za to z roboty wyciepnōm.

CIOTKA WICHTA:

Jo na Ciebie, dzioucha, niy powiyłm złego słowa... Mogłaś mie przeca z rozpyndu wcisnonć do lodōwki. No niy, Ignac?

IGNAC:

Jakby jo niy wyloz na chwila za potrzebōm, to tyż by sie nic niy stało. Zaroz bych zrobił larmo, że ni ma papiōrōw i byście sie ôbudziyli. Niy wiycie, jaki jo mōm pysk, jak zech jest wpieprzony!

KAROLINKA:

Ida na oddział, bo zaroz mie bydōm szukać... Tyla roboty ôstało! Wszystko trza poprzeblykać, ruły do tlynu poprzikryncać, nachtopy lizolem poloć... Godōm wōm, ni ma leko. Niy, niy...

CIOTKA WICHTA:

Jakbyś mi tak mogła moje łachy podciepnōnć? Niy byda przeca tu tako goło siedziała z takim karlusym. Dyc to richtig wstyd.

KAROLINKA:

Niy wiem, czy sie do, bo ni mōm waszego wypisu.

IGNAC:

A to co jest? *wskazując na papiery*

KAROLINKA:

Karta zgonu... Na to wydajōm łachy rodzinie, a niy niyboszczykowi. To niy jest tak roz, dwa.

*Otwierają się drzwi i na scenę wchodzi naładowana złością Oddziałowa.*

*Widząc to salowa Karolinka odruchowo chce się ukryć za ciotką Wichtą.*

ODDZIAŁOWA:

Niy widzieliście naszymy Karolinki? Wyszła ino papiōry zaniysć i kasiś psia-krwia wsionkła. O, jednak dobrzech trefiyła. Dziołcha, wiysz wiela momy roboty, a ty...

IGNAC:

Pomaluśku, sioostro oddziałowo...

ODDZIAŁOWA *zauważając ciotkę Wichtę*:

Niy, niy! To pewnie z nerwōw i tego zamyntu...

CIOTKA WICHTA:

Ino niy mdlyjcie, ani nōm tu niy umiyrjcie, bo ci ôd Charona przed chwilōm poszli.

ODDZIAŁOWA:

Zy mnōm chyba jest źle. *zaczyna się chwiać na nogach*

CIOTKA WICHTA:

Dejcie ji stołek.

IGNAC:

I może kapka nalejmy do bańki.

CIOTKA WICHTA:

Mosz recht, synek. To dobrze działō. Jakby niy bańki, to wiela by tu już trupōw było?

*Salowa szybko przynosi krzesło, Ignac nalewa, a ciotka Wichta podaje lekarstwo przerażonej Oddziałowej. Ta wypija i po chwilce...*

ODDZIAŁOWA:

Jo chyba ôgupła! A jak zech niy ôgupła, ino to wszystko sie dzieje naprowda? Przeca mie z hukym z roboty wyciepnōm, pōda haźle myć. Do ciupy mie zawrōm!

KAROLINKA:

A jo co mōm pedzieć? Przeca jo ciotka tukej przywozła.

ODDZIAŁOWA *popłakując*:

Ale jo ci kozała. No, ale przeca niy dychała... To wszystko przez ta harōwa, jo już prawie w doma niy bywōm. Dzieci hnet zapomnōm, jak matka wyglondo. I tu jeszcze... Szkoda godać!

IGNAC:

No, ale dochtor to świadectwo podpisoł.

ODDZIAŁOWA:

Jaki dochtor! Dyc ōni piyrsi pitli z oddziału. Wziynach bloczek i napisa-  
łach... ale tam ni ma sztympla.

IGNAC *biorąc dokument do ręki*:

Richtich, a jo sie niy kapnył.

ODDZIAŁOWA:

To by my załatwyli jutro, ale teroz, to jo już nic niy wiym.

KAROLINKA *z rezygnacją*:

Pōdźcie, Oddziałowo, idymy... Co bydzie, to bydzie.

CIOTKA WICHTA:

Toż przyniyscie mi moje łachy i te pile, co zech miała łykać.

IGNAC:

Suchejcie, dziolchy, przeca musi być jakeś wyjście. Dyc nic sie po prowadzie niy stało.

ODDZIAŁOWA:

Łatwo wōm godać.

IGNAC:

Jo tyn papiōr potargom... O, tak. *drze dokument*

ODDZIAŁOWA:

No i co? To nic niy zmiynio!

IGNAC:

Jak to niy? Teroz ciotka Wichta żyje.

KAROLINKA:

I to jest prawda. Zgodo sie ze stanym rzeczywistym, Oddziałowo.

ODDZIAŁOWA:

No ja, ale co dalij? Kaj jo mōm pani Wiktoria umieścić. Oddział zlikwidowa-  
ny. Kaj indzij tyż majōm pełno.

IGNAC:

Wypiszecie jōm do dōm, proste.

ODDZIAŁOWA:

Ale ôna przeca sama sie niy do rady. Musi łykać pile. Musi coś jeść. Fto jôm ôdwiezie?

IGNAC:

Wy idźcie, prziniyście jeji łachy i trocha lykôw, by stykło na pora dni.

ODDZIAŁOWA:

Ni mogymy jôm przeca samyj w środku nocy wypisać.

CIOTKA WICHTA:

I tak mie mieli już w łónsko sobota posłać do dôm.

IGNAC:

Wy załatwiejcie wypis, a my tu napiszemy oświadczenie, że pacjentka prosi o wypis na własne żondanie. Może tak być?

ODDZIAŁOWA:

No, niby może.

IGNAC:

Jo ôd siebie szrajbna, że odbiyrôm ciotka Wichta i zapewniôm ji opieka. No, taki wolontariat. Może być?

KAROLINKA:

Oddziałowo, ale to trza bydzie wysłać do opieki.

IGNAC:

To wyślecie. Na waszyj gowie, siostro, ôstawiôm ino to, żeby ciotka w razie nogłyj potrzeby nazod przijońć do szpitala.

ODDZIAŁOWA:

O to sie, Ignac, niy martw, to jakoś załatwiymy. Dziynki ci.

IGNAC:

Toż pylejcie na oddział, prziniyście łachy i pile.

*Oddziałowa i salowa wybiegają ze sceny. Pozostaje Ignac i ciotka Wichta.*

IGNAC:

Słyszeliście i widzieliście wszystko?

CIOTKA WICHTA:

No, ja.

IGNAC:

Jak żeście to przeżyli, to żeście sôm blank zdrowo.

CIOTKA WICHTA:

I tak sie, synek, czuja. Już bych poleciała do dôm.

IGNAC:

Pomalušku. Nojpiyrw musza kaś zadzwonić.

*Wybiera numer i chodzi po scenie.*

Pizzeria! Poprosza ta wyynkszo... Ciotko, jako chcecie pizza, ôstro, abo łagodno?

CIOTKA WICHTA:

Synek, jo po nocy niy jym.

IGNAC:

Dobra, dobra...

*Do telefonu.*

Zrôbcie pōł na pōł. Ja, ja...tam, kaj zawsze. Klupejcie fest.

*Odkłada telefon. Do ciotki:*

Muszymy coś wciepnonć na ruszt, bo do rana jeszcze trocha. Co tako markotno siedzicie?

CIOTKA WICHTA:

Wiysz, niby chca iść do dōm, ale z drugij strony to sie boja.

IGNAC:

Czego sie boicie?

CIOTKA WICHTA:

No, czy sie dōm sama rady.

IGNAC:

A ni mocie blank żodnego?

CIOTKA WICHTA:

Wiysz, jo jest staro panna. Siostra pojechała do Niymiec i tam tyż już umarła, łōńskigo roku. Pamiyntała ô mie, niy powiym. Ale terozki samach, jak tyn palec. Somsiadka jeszcze starszo ody mie.

IGNAC:

Toż jo wōm powiym, co mi łazi po gowie. Jakby to klapło, to bych sie richtich radowoł.

CIOTKA WICHTA:

Toż godej.

IGNAC:

Jak wiycie, miyszkōm niydaleko ôd vos w tym domku przy cmyntorzu. Okolica cicho i spokojno, a ôciec umar downo, jeszcze, jak jo był bajtlym. Mama pora lot tymu.

Sōm my w doma ino jo, pies i kot. Jak ida do roboty, to te bydoki siedzōm same.

Jak jo chca kaś pojechać, to ni moga. Tak mi szczelyło do gowy, że placu jest aż za tela, byście mogli do mie przichodzić, abo nojlepij ôstać. Dōm wōm ciepło izba, a razym bydzie

nōm weselij i wygodnij. Jo byda miol spokōj, a wy zawsze kogoś koło siebie.

CIOTKA WICHTA:

Ale...

IGNAC:

Wiy, że starsi niy radzi ôstawiajōm swoje kōnty, że starych drzew sie niy przesodzo...

CIOTKA WICHTA *wycierając ukradkiem łzy*:

Piyknie, bardzo piyknie, ale jo ni moga ôd ciebie tego...

IGNAC:

Co niy możecie? Jo vos ô to prosza!

CIOTKA WICHTA:

Jak to tak...? Ani my niy sōm rodzina... Co ludzie pedzom?

IGNAC:

Jak byście kogoś mieli, to co inkszego. Zastanōwcie sie, choć na prōba, bez musu.

Za jednym zamachym wōm bydzie lepij i uratujymy te dziolchy.

CIOTKA WICHTA:

Tak godosz?

*Pukanie. Ignac wychodzi za scenę i po chwili wraca z pizzą i napojami. Otwiera opakowanie, podaje ciotce sztucce. Wyciąga z biurka dwie szklanki.*

CIOTKA WICHTA:

Ftoż to zjy? Jo ino konseczek.

IGNAC:

Jydzcie, bo pizzy pewnie na oddziale tyż niy dawali.

*Zaczynają jeść. Na scenę wpada salowa Karolinka z dużą torbą podróżną.*

KAROLINKA:

Przyniosłaś wasze łachy, pani Wiktorio.

CIOTKA WICHTA:

To fajnie. Jak wyleza z tyj piżamy, to zaroz poczuja sie zdrowszo.

KAROLINKA:

Toż wōm niy przeszkodzōm. Leca. Smacznego.

IGNAC:

Nikaj tak gibko niy pōdziesz, Karolinko. Musisz nōm pomóc i zjeś choć je-  
dyn kōnsek. Patrz wiela tego jest. Siadej, już ci nakłōdōm.

KAROLINKA:

Dobra, ale ino chwilka i niy dużo!

CIOTKA WICHTA:

Niyboszczyki tela niy jedzōm, to sie zeschnie.

*Salowa Karolinka siada, a ciotka Wichta wychodzi z torbą za sceny.*

KAROLINKA *częstuje się:*

Nawet niyzło ta pizza!

IGNAC:

Nad ranym w prosektorium nojlepiej smakuje, no niy?

KAROLINKA:

Powiydz mi, Ignac, co my z tōm ciotkōm zrobimy?

IGNAC:

Domy sie rada.

KAROLINKA:

Padosz, że wszystko bydzie dobrze? Niy wygodosz sie?

IGNAC:

Na tako fajno frela jo by mioł naskarżyć? Musi być dobrze!

*Karolinka podchodzi do Ignaca i całuje go w policzek.*

KAROLINKA:

Jak tak godosz...

*Na scenę wraca Ciotka Wichta, skromnie, ale ze smakiem ubrana.*



KAROLINKA:

Jeronie, jo by wos terozki niy poznała.

CIOTKA WICHTA:

Wziynach sie do lazarytu nojlepsze łachy, bo wiycie... jakby tak...

Trza w trumnie dobrze wyglōndać.

IGNAC:

To byście sie zdziwili. Teroz, jak jest covid, to my...

*Na scenę wpada Oddziałowa z papierami w ręce i staje jak wmurowana widząc  
Ciotkę.*

ODDZIAŁOWA:

No niy! Aleście sie wysztiftowali!

CIOTKA WICHTA:

Co sie byda żałować! To miało być na ôstatnio droga.

ODDZIAŁOWA:

Ale niy bydzie. Wszystko żech pozałatwiała ôd rynki. Możecie iść do dōm.  
Dochtor dyżurny szkryfnył wasz wypis. Ignac, tukej ty musisz szrajbnonć,  
że bieresz pani Wiktoria.

IGNAC:

Dejcie, już podpisują. *podpisuje*

A tu jest pizza. Musicie choć kōnseczek zjeść, my już niy domy rady... pomōż-  
cie, tak jak my wōm pomogli.

ODDZIAŁOWA:

Niy dōm sie prosić, bo roz, że żech sie zmochała na oddziale, a po druge  
(z *uśmiechem*) musza sie ôdpłacić za to rozwiōnzanie. Dziynki, spadli my na  
sztury łapy.

IGNAC:

Ale nojważniysze, że my sie dogodali z ciotkōm Wichtōm. Jo byda ji pomo-  
goł w sprawunkach, opłatach, dojazdach, a ôna od czasu do czasu bydzie mi  
pilnować Frida i Bolka.

KAROLINKA:

Ale przeca tyś sie niy chajtnył i ni mosz dzieci?

IGNAC:

Ftoro by tam chciała za chopa trupiorza? A Frida to moja kotka, zaś Bolek to  
owczarek murziński, jeji nojlepszy kamrat.

KAROLINKA:

Toż godej tak zaroz.

ODDZIAŁOWA:

Lepszego końca ni mogło być.

IGNAC:

Toż jeszcze po jednym kōnsku i mogymy sie zbiyrać. Robi sie widno i zaroz przidzie dziynno zmiana. Nic tu po nos.

CIOTKA WICHTA:

A ty, synek, nic sie niy trop, jo ci już jakoś frelka znojda.

KAROLINKA:

Sama bych takigo chciała... ale jo jest rubo.

CIOTKA WICHTA:

Kochanego ciała nigdy za wiela... tak padajōm.

IGNAC:

Mōm propozycja. Jak to już wszystko przyńdzie i bydzie normalnie, spotkomy sie wszyscy u mie w laubie na ôgrodku i poôsprawimy.

ODDZIAŁOWA:

Dobry pomysł, Ignac. A terozki my sie zbiyromy na oddział. Karolinko, weź te nasze łōżko, niych tu niy zawodzo.

KAROLINKA:

Trza je brać, bo by nōm przeca brakowało.

ODDZIAŁOWA:

A na oddziale wszystko musi grać i sie zgodzać...no niy?

*Oddziałowa i salowa wyjeżdżają z łōżkiem ze sceny. Ciotka bierze swoją torbę.*

*Ignac zakłada czapkę i gasi światło.*

Aleksander Lubina

OSOBY:

MALARZ

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA

HANDLARZ

GŁOS

I.

MALARZ:

Słońce zachodzi... Tonie w jeziorze... Pięknie. Jest co malować: słońce w jeziorze przez kwiaty: irysy, kaczeńce, mlecze, mimozy, jaskry...

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Dziewanna, słonecznik, chryzantema... Piynknõ klara, szwarnõ, kiejby ze lõbrozka.

MALARZ:

Oranżowõ, złotõ, złotõ-żółtõ, jantarowõ, kanarkowõ, siarkowõ, słomkowõ, stary gold, szafranowõ, miodowõ, chromowõ, miedzianõ, kadmowõ – takõ wielõ, blank złotõ.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Złotõ-czyrwõnõ, czerwono-złotõ, kuknij, spoziyryj na nia direkt, patrz na nia, patrz długõ, długõ, direkt, aż zrobi sie gold, gold, blank złotõ. Takõ cõłkiym złotõ wlażuje dõ jeziora, do bagerzyju, dõ modryj wody. Woda dychõ falõma, dychõ, faluje, pulsuje, kiejby słońce wodzie przõłõ, a woda słõncu – falujõm, pulsujõm klara i fale – stegõ musi cosik być, stegõ musi sie cosik urodzić. Możnõ nowe żiwobycie, nowy kosmos. Kosmos, dobry kosmos boski, lepszy ślõnski świat, lepsze ślõnskie żiwobycie, lepsze Ślõnzoczki i lepsze Ślõnzoki.

MALARZ:

Też bym chciał.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Chciõłbyś? Chciõłbyś? Maluj klara, maluj Aurora, jutrzenska, maluj ptoki, krzoki, pnioki, maluj ludzi, starzykõw, starki, õpõw i õmy, õjcõw i mamulki,

fatrów i mamy – niy maluj soroniów. Ty maluj, maluj, a jō byda ryzykōł, coby  
łōżyłō, coby spełniłō, spełniłō śniki, cō my mieli za bajtla. Spōmnisz se?  
Spōmnisz?

MALARZ:

Pamiętam, pamiętam, ale ludzi nie umiem malować... ludzie są trudni...

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

To nie namalujesz nos nawet na gepekrze, na tacinym kole na cescie bez  
bauerzy.

MALARZ:

Pamiętam, to jeszcze nie było jezioro, to była piaskownia. Była tu już dawno.  
Potem zalali.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Spōmnisz se, jak zaloli zandgruba, kopalnia piasku? Spōmnisz se? Na ryby  
my łazili? Wojskō nos goniłō furt. Wpiyrw gonyli sowieci, potym Rokos-  
sowski, potym Wojsko Ludowe.

MALARZ:

Toć, co pamiyntom. Gonili nos, i mieli prawie, bo strzegli tajemnicy wojsko-  
wej – na drugim brzegu czołgi produkowali. Czołgi dō Ruskich, dla Układu  
Warszawskiego: Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, Ludowa  
Republika Bułgarii, Czechosłowacka Republika Socjalistyczna, Niemiecka  
Republika Demokratyczna, Rumuńska Republika Ludowa (od 1965 Socjali-  
styczna Republika Rumunii), Węgierska Republika Ludowa, Ludowa Repu-  
blika Albanii. Sojusznicza tajemnica wojskowa.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Tajemnica wojskowa! Tajemnica woskowa! Czołgi? Śmiychu warte. Szkoru-  
py. Modele do dupy. Na wojnie egipsko-żydowskiy te super-czołgi sie go-  
towały na pustyni. Po sześciu dniach żołnierz izraelski prziszōł, poklupōł  
i godō dō tegō Ruska niby ze Egiptu: *Te wylaż, dostaniesz szklōnka zimnyj  
wody. Niy wykupiej sie, wylazuj, kōniec wojny – dziyń siōdmy mōmy świynić.*  
*W dziyń siōdmy, niy moiesz robić nic, bō tō je zakozane. Nic niy rōb, niy rōb  
nic – niy rōb gupot.*

MALARZ:

Ale nos, u nos, nad naszym bagerzyjem, za bajtla, pogonili, bo to była tajem-  
nica wojskowo, a szpicli trza gonić, bo mogōm zdradzić.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Zdijńcia zrobić wędkom, albo kozim zadkiem? Wygodać sie, że te pancry  
sōm tragiczne, jak godki sołtysa na piyrszego maja.

MALARZ:

Potem wpuścili zamaraszōno Kłodnica do jeziora i gnojowica z nojwiynkszyj świniarni we Układzie Warszawskim, we obozie socjalistycznym, żeby nikt ryb nie łowił, nie jeździł ma kole, na mopliku, nie pływōł, nie pływōł, nie żeglował i żeby nie budował daczy na brzegiem. Taki był koniec bagerzyju. Pozostało malowanie zachodów słońca nad wiejskim jeziorem latem i zimą – bez ludzi i chałp. Tak maluja i to ludzie majōm radzi, to kupują i wieszają.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Niy je ciynżkō bajtli pogōnić, pancry do Ruskich budować w downych zakładach Hermann Göringa, wieprzki chować do Ruskich... We wsi godali: We świniarni najwiynkszym patriotom polskim jest gnojowica, bo wieprzki emigrują, emigrują – szynka cugiem do Aachen, ryje do Sowjetów, a gnojowica zostaje we hajmacie, we ziymi żyznej, we łójczyźnie, a bohaterskō jakō je... Kurde! Zakładów zbrojeniowych broni – smrodym i marasym!

MALARZ:

Dziś nad jeziorem sensacją nie są czołgi i wieprzki, dziś są to trójkąty widoczne z satelity. Nikt niy wiy, cō tō. Co to za dziwne trójkąty koło jeziora, między Kłodnicą a torami kolejowymi ze Lwowa, Krakowa do Wrocławia, Berlina i Hamburga.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Tyż mi tajemnica... To przeca stanowiska artylerii Rokossowskiego, cō nōm tu demokracji ludowyj broniła, coby my se jom cynili, żeby my łōd niej dō Aachen jak te szynki wieprzkowe nie pitli, bō w Niymcach nōm bydzie źle, bo tam sōm naziści i kapitałisci.

MALARZ:

Też o tym wiem. Ludzie, co dostali zgoda na wyjazd nikōmu łō tym niy godali.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

My wiedzieli, cō sie szykuje. Dziōłcha do liceum medycznego, synek na mechanika, fatra wyciepli z fabryki czołgōw do pegeeru na stajennego... Potym my szli na wiadukt i kiwali pociōngowi dō Aachen. Pōł wsi Gierek do Niymiec sprzedōł. Gierek cudotwórca. Cud gospodarczy – ludzi sprzedowōł za nazi-stowskō marka niymieckō. Zachodnioniymieckō! Hitler starzikōw do Wehrmachtu zaciōngnōł, Stalin dō Workuty pognōł, a Gierek ich dzieci i wnuki łōsiyrocōne sprzedowōł dō Niymiec. Łōd chopa 10 tautzynōw marek. Łōd baby 10 tautzynōw marek. Łōd bajtla 10 tautzynōw marek i to marek zachodnich.

MALARZ:

Ich pola i domy zostały tu. Chciałeś wyjechać, musiałeś sprzedać. Za grosze sprzedać, żeby zapis w księgach wieczystych zmienić.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Tõ niy ma nic nowego. We 1945 wygnali z jednym kofrym Niemców, Ślonzoków i Ewangelików, a potem Polska Rzeczpospolita Ludowa przejmowała majątek opuszczony, majątek pozostawiony, majątek bezpański: huta Hermi-na Roberta Caro, Werk Hermanna Goeringa, lasy, werki i gruby grofa Ballestrema, dominum grofa Welczka, zandgruba grofa Schaffgotscha, folwark ze parkiem we wsi, piyrwiyj Hegenscheidt, potem Arbeitslager Auschwitz, jeden, dwa, trzy albo cztery cztery obozy pracy przy werkach w mieście – potem GZUT (Gliwickie Zakłady Urządzeń Technicznych) albo Carbochem.

MALARZ:

Skończyłem. Idymy dõ dõm. Dziwisz się? To szkic.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Cõ tõ je?

MALARZ:

Jeziorõ, a sniegõ wyłazõm duchy.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Wtõ tõ?

MALARZ:

Dziolcha.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Ta, co jõm? A to...

MALARZ:

Ta. Sõmsiod jõm wydõł Ruskim. Brali jõm trzi dni.

Przyjaciół z dzieciństwa – Somsia żes niy namalował?

MALARZ:

Jego dzieci żyjõm i wnuki tyż. Wyjechali do Niemiec na pochodzenie. Możnõ nadõm mu numer, bo jednak był świniõm.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

A tõ...

MALARZ:

Sowieci ludzi pomordowali tela, że trupy jak kłaki dołowali – nale że tõ bõłõ zimõm, to płytkõ. Wtõ miõł szczyńsci, tõ gõ familijõ zakopała we zygrõdce, tak jak tego synka, co go dziypiyro na wiosna należli. Rosnõm na nim jadalne lakõwki ametystowe, takie fioletowe, sine gryby.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Widziółech we lesie. Tata godził, co po wojnie ich było za tela.

MALARZ:

Za dziecka to rosły też we parkach. Ten grzyb dlatego rośnie w miejscach z glebą z amoniakiem i innymi związkami azotu. To tereny po dawnych latrynach i cmentarzach i okolice, gdzie zakopano ludzkie zwłoki.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

A to...? Tyn brunotny flek z liczbami? Mō lōstać?

MALARZ:

Możnō niych lepij lōstanie. Sōm niy wiym.

## II.

HANDLARZ:

Naprawdę nie chce Pan sprzedać tego obrazu? Dobrze zapłacę. Interesuje mnie pejzaż.

MALARZ:

Nie jest na sprzedaż. Nie jest skończony.

HANDLARZ:

Dobrze zapłacę. Interesuje mnie krajobraz Śląska. Zamawiam u pana tyle krajobrazów, ile pan zdoła namalować. Płacę z góry. No, powiedzmy zaliczka 50%. W euro, dolarach, frankach szwajcarskich, w złocie?

MALARZ:

To szkic... może coś domaluję.

HANDLARZ:

Naprawdę? Maluje pan cyfry na brunatnej plamie, co to znaczy?

MALARZ:

Nic nie znaczy...

HANDLARZ:

Frapująca koncepcja. Takich obrazów potrzebuję dużo. Wie pan, ja jestem deweloperem, ale nie takim od zysków. Ja jestem od estetyki. Urbanistyka, architektura przestrzeni i wnętrza. Piękno i funkcjonalizm. Harmonia. Harmonia i kontrast. Nowoczesność a nie przeszłość.

MALARZ:

Pomyślę.

*Gaśnie światło*

GŁOS:

**Numer jeden:** po ojcu nazwisko polskie, przed wojną zmienił na nazwisko niemieckie, po wojnie zmienił na polskie: chodził w mundurze powstańców pro-polskich i nawet przez kilka lat był sołtysem. Mieszkał w domu podwójnym z byłym niemieckim policjantem w Hindenburg. Po wojnie donosił do UB, wsadził sąsiada do więzienia na 3 lata, za opowiadanie dowcipów politycznych.

**Numer dwa:** były marynarz niemiecki, syn tego, który domagał się usuwania napisów niemieckich na domu: Bäckerei und Konditorei. Jego syn za obsikanie orła polskiego (z piasku) przed komendą MO (w stanie pijanym), dostał 5 lat więzienia.

**Numer trzy:** w 1945 zgarnął kierownictwo folwarku, późniejszego PGRu. On uwięził sąsiada (**Numer cztery**) w piwnicy zamku za znalezienie w jego kieszeni ziaren żyta.

Z (**Numerem cztery**) uwięziony był niejaki Saluk. Obydwaj wydostali się przez małe piwniczne okno. Potem przez jakiś czas musieli się ukrywać.

(**Numer trzy**) pod podłogą w sypialni aż do zatrudnienia jako ładowacz pociągów z węglem do Rosji.

Tam **Numer pięć** szydził z niego: „Jetzt bist du nicht mehr im weißen Kittel...”

**Numer cztery** prowadził laboratorium w hucie. Dokąd wrócił w 1948 i pracował do listopada 1953. Zmarł na zapalenie płuc po operacji raka żołądka 20 grudnia 1953, bo umieszczono go pod otwartym oknem.

Także pierwszy polski sołtys (**Numer sześć**) wskazywał żołnierzom sowieckim i polskim sąsiadów do plądrowania przez, kobiety do gwałtów, oraz gołębnik, w którym ukrywał się chłopak w bluzie Hitlerjugend.

**Grupa siedem** – podczas plebiscytu kierowali akcją pro-polską i straszili innych, którzy musieli się ukrywać przez dłuższy czas... w styczniu 1945 wzięli odwet na sąsiadach Niemcach.

### III.

HANDLARZ:

Naprawdę nie chce Pan sprzedać tego obrazu?

MALARZ:

Nadal nie jest na sprzedaż.



HANDLARZ:

Wszystko można kupić. To wyłącznie kwestia ceny. Światem rządzi pieniądz.

MALARZ:

Nie wydaje mi się.

HANDLARZ:

Pana sprawa.

MALARZ:

Nie wydaje mi się... światem rządzi głupota. Tak to już jest. Głupota, brak rozumu, brak zasad, brak szacunku. Niewiedza rodzi zgrozę i okrucieństwo. Pycha. Chciwość, owszem chciwość – ma pan rację – pieniądz.

HANDLARZ:

Głupotę, brak rozumu, brak zasad, brak szacunku, niewiedzę może pokonać jedynie pieniądz.

MALARZ:

Nie wydaje mi się, proszę posłuchać:

### *Gaśnie światło*

GŁOS:

Nad linią kolejową był dom dla pracownika kolei, Sowietci zgwałcili matkę i dwie córki (poniżej 16 lat).

W sąsiedniej wsi zamordowali trzech księży, w plebani spalili proboszcza na żywo. Spalili też piekarnię, restaurację nad potokiem, sklep na drodze do wsi oraz kilka gospodarstw rolnych. Miejscowy policjant został przywiązany do czołgu. Tylko skóra po nim została.

W innej wsi zamordowali całą rodzinę i zakopali w gnojoku oraz jednego Hitlerjugend, który ukrywał się w gołębniku, gdy go wiosną znaleziono, był prawie zjedzony przez robaki...

Obok przejścia kolejowego zakopali młodych z Heimatsflak, którzy zgodnie ze przyrzeczeniem złożonym Adolfowi Hitlerowi pozostali na pozycji obrony obok Borlochu na Czornyj drodze do samego końca.

**Numer cztery**, jako Hauptmann Heimatsflaku ewakuował pozostałych do pozycji na szosie. Tam dał rozkaz: Rettet sich wer kann! Młodzi z reichu sprzeciwili się, zostając na miejscu Der Führer hat uns befohlen, Deutschland zu verteidigen... Sie sind ein Verräter und werden dafür bestraft. Lecz **Numer cztery** i jego kamrat uciekli, przebrali się i udali się do siostry w innej wsi. Stamtąd wrócili początku lutego. Obaj opowiadali o trupach na ulicach

miasta, płonącej cegielni i domu właściciela w Starych Gliwicach, gdzie cała rodzina została spalona żywcem.

#### IV.

MALARZ:

Słońce zachodzi... Tonie za jeziorym...

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Krwawo klara, mściwo, kiejby ze mitów, ze sag, z przepowiedni – tak blank czyrwonō. Czyrwonō, czyrwonō, kiej krew. A jezioro jakie piynkne, jakie czyste, cōłkie we śniegu. Kuknij, spoziyryj na nie direkt, patrz na nie. Kozali spoziyrać na nie direkt starzykōm, starkōm, ōpōm i ōmy, ōjcōm i mamul-kōm, fatrōm i mamōm i soroniōm. Aże łōślypli. Łōślypli. Łōślypli. Łōślypli Gorole i Hanysy, Niymcy i Poloki.

MALARZ:

Też bym chciał.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Chciōłbyś? Chciōłbyś? Nale ty już niy widzisz. Tyś ino biōłe widziōł, białe – ino cō dobre. Možno to je richtiś, nale to niy je prowda. Jezioro pode śniygim je ino zamarzniōne. Na wiosna łōżyje, coby spełniłō, spełniłō śniki, cō my mieli za bajtla. Spōmnisz se? Spōmnisz?

MALARZ:

Co se mōm spōmnieć? To byłō jedne dupne cygaństwo, te familijne godki, ta nienawiść do Niymców, ta wiara we socjalizm ...

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Familijne godki bōły potrzebne, choby skuli tyj nienawiści do Niymców i kościoła, a my bōły i Niymce i katoliki. I nos tympili.

MALARZ:

Chciōłbyś... Oma bōła Niymcym i katoliczkōm, Opa już downo niy żył. My ino szprechali i rzykali po niymiecku.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

A po jakiemu my mieli godać? Schlonsakisch? Polakisch? Familijne gyszich-ty pokazały, cō Opa i Uropa byli echt in Ordnung Niymcy i niy byli biydni.

MALARZ:

Chciōłbyś... Teraz zagrosz staro lajera:

*Gaśnie światło*

GŁOS:

Uropa podczas inflacji i po dewaluacji, po utracie domu dla 12 lokatorów in Breslau i mniejszego in Brieg, podczas kryzysu w 1928 roku zakupił za resztki złota przechowywanego w Zigarrenkiste dom we wsi i przebudował: włącznie z piekarnią i lodziarnią (Bäckerei und Konditorei), gdyż we wsi od strony miasta miało być osiedle domów jednorodzinnych, któremu sprzeciwiali się mieszkańcy wsi.

Praopa kupił dom, a budowniczemu **Numerowi** cztery sprzedał córkę...

Rodzina pradziadka ze strony Opy byli zdecydowanie pro-Polska podczas plebiscytu i powstania. Podobnie jak mąż Tante Edith, syn senatora i dyrektora gimnazjum, aktywny powstaniec.

Praopa Joseph, Diplommechaniker nadzorował maszyny w fabryce papieru, był za Niemcami.

Jego dzieci kształciły się w niemieckich szkołach: Kattowitz, Gleiwitz, Breslau.

Pradziadek ze strony Opy zmarł na atak serca we wsi podczas wizyty w 1930. Opa po I Wojnie Światowej i niewoli w Anglii, najpierw przez kilka lat był u swej siostry w Kustrin (Kostrzyn) an der Oder.

Tante Liesel i Onkel Willi posiadali restaurację. Ona była z wykształcenia: nauczycielką.

Uropa z Willim łowili ryby na Odrze.

W międzyczasie Tante Marie wyszła za mąż za Johanna: pracownika w nielowni. Byli właścicielami sklepu.

Do Tante Marie dołączył najmłodszy brat Opy: Joseph, baumeister. Ożenił się. Ona oddziedziczyła dosyć morgów pola.

Joseph razem z Opą na tych morgach budowali domy i sprzedawali.

Onkel Lorenz był malarzem. Malował kościoły w Oberglogau, Leobschütz i w Sudetach.

Mąż Tante Agnes, Kontanz: prowadził pociągi, włącznie z tym wiozącym Cesarza Wilhelma II i Latającego Ślązaka, no wiesz, ten supernowoczesny ekspres.

W roku 1945, do ich mieszkania wprowadzili się polscy repatrianci. On się sprzeciwił, gdy do mieszkania wprowadzili krowę. W odwecie zrzucili go z klatki schodowej drugiego piętra. On odbił nerki i zmarł.

Tante Agnes jesienią 1945 wywieźli do Niemiec.

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA:

Staro lajera? To niy je staro lajera, to je niychciano prawda, prawda wypierano. Wypirosz sie prawdy, boś je tak spolonizowany, że se już albo niy wspomnisz prawdy, alboś sie jej wyparł. Tyś czorny flek na biolo zamalował, że co, że niby jeziora tafla śniegu płatkami otulona. Ino co na wiosna to odtajo a woda zaleje, wypłukō, odkryje, a niy łobmyje. Bō jakbyś chciōł to szafnōć, musiałbyś cōłkiym nowy łobroz namalować. Na białym fleku fioletowe grzyby? Chopie, co to mō być. Co to mō być? Wstyd, a srōmota, srōmota a gańba.

V.

HANDLARZ:

Naprawdę nie chce Pan sprzedać tego obrazu?

MALARZ:

Nie jest na sprzedaż.

HANDLARZ:

Ile Pan chce? Chcę oba, ten z brunatną i ten z białą plamą.

MALARZ:

Nie ma dwóch obrazów, to kopie robocze dla mnie, maluję trzeci raz.

HANDLARZ:

Widzę, fioletowe grzyby na śniegu, pokrywającym jezioro. W miejsce cyfr grzyby.

MALARZ:

Nie umiem malować ludzi. Ludzie to dla mnie duchy, numery, opowieść. Tyle i nic więcej.

HANDLARZ:

Fioletowe grzyby na śniegu pokrywającym jezioro. To fantastyczny pomysł, taki śląski mistycyzm symboliczny, albo symbolizm mistyczny, kurwa mać zwał, jak zwał: kupuję te trzy obrazy, kupuję dla siebie: ten zachód słońca z brunatną plamą, jak pan to mówi: tyn ze brunatnym flekiem, ten zachód z białą plamą i ten zachód z fioletowymi grzybami na śniegu.

MALARZ:

Nie są na sprzedaż.

HANDLARZ:

Nie chce pan sprzedać obrazów, rozumiem. Chyba też bym nie sprzedał człowiekowi, który kupił tę całą pana wieś, a potem sprzedał z zyskiem razem

z mieszkańcami. Żal ich panu, nie wierzę. Przecież pan wie, że pana rodzina wyjechała, umarła, a ja wiem, że ci oznakowani cyframi od dawna nie żyją, jezioro nie wyleje, bo przecież zmiana klimatu i susza. Nawet grzyby wyschną, wyschną. Wiem, że te fioletowe grzyby to lakówki ametystowe: to nie-dobre grzyby, wiemy obaj że rosną w miejscach po cmentarzach, masowych grobach i miejscach zakopania zwłok. Złe grzyby? Pan wie, że są jadalne?

MALARZ:

Wiem. Wiem też, że są zabójcze, bo na terenach hutniczych i górniczych wzbogacają kwas dimetyloarsynowy, który powoduje raka. Dlatego ich nie sprzedaję.

Lidia Michalska

CZAS:

*Czasy nom bliskie – może być tak piynć lot tymu, ale niy downij niż dziesiynć.*

MIEJSCE:

*Szpital w jakimś ślōnskim mieście. Tak po prowadzie, to na piyntrze szpitala: na jednym końcu w gabinecie ôd dochtorow, na drugim – we sali szpitalnyj, w kierej stojom dwa łōżka. Ino jedno je zajynte, leży na nim Tila. Boroczka, kiero leżała na drugim, umrziała trzy dni tymu.*

ÔSOBY:

*CIOTKA TILA starszo babka, ale ôna yno leży, jom se yno ôbejrzycie, a niy posłuchocie*

*DOCHTOR jak to dochtor, zocny, ale niy idzie dokładnie pedzieć, wela mo lot.*

*FLYJGERKA, SIOSTRZICZKA abo PIELYNGNIARKA, jako kto woli starszo, rozumno babka, ogromnie ciyrpliwo*

*USIA cera od Tilczynej siostry; baba w średnim wyku, dobrze sie trzimie, dobrze se wyglondo, yno ôgromnie nerwowo je*

SCYNA ABO BINA PIYRSZO.

*Kancelaryjo ôd dochtorōw, ale siedzi tam ino jedyn dochtor, przekłodo papiōrki. Słyhać klupani i wchodzi Usia. Dobrze ôbleczono, poczosano, dość nerwowo. Trzimie tasza przed sobom – tak to trocha wyglondo, jakby chciała sie niom zakryć.*

USIA:

*Dziyń dobry, Panie Dochtorze. Siostry mi padały, że moga na chwila...*

DOCHTOR (*wzdycha, odkłodo papiōrki*):

*Dzień dobry, zapraszam, proszę. Pani się nazywa...*

USIA (*siodo*):

*Jo sie nazywom Urszula Dubiel, Panie Dochtorze! My chyba bez telefon go-dali...*

DOCHTOR:

Dubiel... Dubiel... nie przypominam sobie...

USIA:

Bo jo tu je w sprawie moij ciotki Tile... Otylia Musiołek...

DOCHTOR:

(*naroz zastarany*) A! To już rozumiem. Musiołek. Otylia Musiołek. No, leży u nas drugi tydzień...

USIA:

Jo by chciała wiedzieć, co z niom... Czy som jaki szanse, że ona sie pozbiyro, że jeszcze bydzie monter, znaczy sie czy bydzie kontaktować!

DOCHTOR:

Wie pani, rozległy krwotok śródmózgowy, jaki przeszła Pani Musiołek, wywołał ogromne zmiany w mózgu... Spowodowane było to chyba długotrwałym nadciśnieniem tętniczym, jakie występowały u Pani... Matki? Ciotki?

USIA:

Ciotki Tilusie. Otylii znaczy sie...

DOCHTOR:

W przypadku takich głębokich zmian naczyniowych rokowania zależą w dużej mierze od...

USIA:

Panie dochorze... prosza... jo by yno chciała wiedzieć, czy ôna z tego wyn-dzie, czy mie słyszy, czy mie widzi, poznowo, czy ôna mo świadomość?!

DOCHTOR:

(*Ściongo brele, naroz zaczyno godać po naszymu*) Wiycie... powiym Wom tak prosto... przy takim wylywie to dużo zależy ôd pacjynta. Przikro mi to godać, ale Wasza ciotka kompletnie sie niy ruszo, niy jy, niy pije i już raczyj niy bydzie!

USIA:

Dyć jo to wiym, dochorze! Powiaydzie mi tak prosto: czy ôna z tego wyn-dzie.

DOCHTOR:

Roztomancie może być. Rzykejcie dużo...

USIA:

Ja, ja... a jako myślicie: czy ôna słyszy, widzi?

DOCHTOR:

I to je, wiycie, dziwne. Bo przy tym wszystkim i mie, i dochorowi Kalymbie zdało sie, że ôna jednak słyszy i widzi. Godać niy godo, niy ruszo sie, ale jak

jom dochtor Kalymba zbadoł, to mu sie zdo, że ôna ruszo ôczami i zdo sie nom, że słyшы. Trza by wiyncyj badań... Som my jednak pewni, że to długo niy potrwo... niy w tym wieku. Jo by Wom tak radzioł ze szczyrego serca: jak chcecie sie z niom pożegnać, to zrôbcie to dzisio! Wszystko może sie zdarzyć.

USIA:

Ja! Jo bardzo chca sie z niom pożegnać! Tela jeszcze chca jij pedzieć! Dziynkuja, Panie dochtorze (*siyngo do taszki*), jo by sie Wom jako chciała odwziynczyć...

DOCHTOR:

Niyh Pani przestanie, to już niy som te czasy! No! Powodzynio... siostra Wos zakludzi do sale...

SCYNA ABO BINA DRUGO:

*Usia wchodzi zapłakano do sale... Zza dźwyrzi słychać, jak ktoś do nij godo, chyba pielyngniarka*

PIELYNGNIARKA (FLYJGERKA):

Ma pani 15 minut!

USIA:

(*Woło*) Dejcie mi 20, 30, to je moja jedyno krewno, ôna mie chowała, jo sie musza z niom pożegnać... dochtor godoł, że ni ma dobrze... A wyście godali, że moga jom poczosać!

PIELYNGNIARKA:

To 25. Gdyby coś się działo, proszę wzywać!

*Usia idzie, siodo przy ciotce, kładzie tasza na delôfce i potym pora minut zaglondo na ciotka.*

USIA:

Witejcie, ciotko Tilko! Pora lot my sie już niy widziały... kupa lot! Tynskniło ci sie za mnom? Fest? Ale jo już je, ciotko, jo już je... jako bych mogła zapomnieć, dyc wyście mie ôd małego chowali, ôsiym lot mi było, jak zech do wos prziszła, ôsiym lot... nie zapomnialach, niy daliście mi zapomnieć.

*Ciotka Tila yno leży i zaglondo.*



USIA:

Jerzyna, ale jaki piykne muszkaty wom tu stojom! Kwitnom jak gupi! Jo pamiyntom, jak wyście zasze przoli muszkatom. Wszyscy w familoku godali, że u Tilusie nojpiykniejsze muszkaty w całkim mieście. Rosły se tak piyknie, czyrwone, różowe, a nawet i białe! Co jo sie ich naôglondała, jak zech na balkonie stoła, czasym i trzi godziny! No, chyba, że cima już było, toh wtedy muszkatów niy widziała, zaglónałać ino, żeby mie jako rokitka niy porwała, boście mi zawsze ô rokitkach godali. Ale wyście co, jo Wom te muszkaty podleja! Jo akurat mom coś do podlocio!

*Usia wyciongo z taszki myńszo flaszkã szpiirytyusu i wlywo do muszkatów.  
Ciotka Tila yno leży i zaglondo.*

USIA:

Co godocie, ciotko? Że to szpiirytus? Dyc wiym, że to szpiirytus. Widza, godocie, że muszkaty uschnom? Ano, pewnikiym uschnom. Taki piykne muszkaty... Przisuna Wom je tak bardziej ku Wom, cobyście widzieli, jako usychajom (*przesuwo muszkaty w prawo*). Bydom tak usychać... Te czyrwone jaki szykowne! A Wy bydziecie zaglondać. Na te muszkaty. Jo tyż tak zaglondała. Bosoch przeważnie była. Po Waszyj delôfće ni mogłać chodźć w szczewikach, a laczków zech nigdy ni miała. A jak żeście mie wyciepowali na balkon to i czasu niy było, żeby sie ôbuć. I tak zech se mogła zaglondać na te Wasze muszkaty... jak ech tak zaglondała, to zech se do tych kwiotków godała, ôpowiadała im roztomańte rzeczy. Ino roz ni, wtedy jak zech zymdlała i somsiadka przisła Wom padać, że tam leża. Pamiyntocie, to wtedy, jak zech se tyj pocukrowała Waszym cukrym i to was tak zeźliło... ja, ja. Widza, że wyście, o czym godom... patrzecie... jeszcze mi trocha szpiirytyusu ôstało, wleja tymu nojpiykniejszymu. Pewnikiym uschnie...

*Ciotka Tila yno leży a zaglondo.*

USIA:

Ja! Dyc jo Was przisła ôdwydzic, a jo Wom nic niy prziniosła! Ale mom apluzyny! Jo pamiyntom, dyc wom smakujom apluzyny, weźcie se apluzina!

*Podowo apluzina, ciotka yno leży a zaglondo. Usia pokazuje ji apluzina przed same ôczy, pocisko pod nos, dowo rynka ciotki na apluzina.*

Niy chcecie apluziny? To szkoda, byda musiała sama zjeść (*ôbiyro apluzina, zaczyno jom jeść, ale dali jodo*).

A może, jak niy chcecie apluziny, bydziecie chcieli skôrka z apluziny? Weźcie se skôrka... jo niy chciała skôrki. Ale mie było yno osiym lot, jakeście mie zawołali i padali: pōdź, Usia, bydymy apluzina jeść. Jak jo sie uradowała, boch przedtym tego niy jodała! I zaglondała potym, jakeście jedli... mie daliście skōra... niydobro była, gorzko, bo jo jom nawet ugryzła. Pomyślała se, że mieście tyn lepszy konsek dali. Jedliście apluzina... jak ona woniała! Już nigdy potym takigo woniu żech niy czuła! Jerzyna, jako dobro ta apluzina!

*Ciotka Tila yno leży a zaglondo.*

USIA:

Ale wyście co, ciotko? Że ta apluzina – na pewno niy chcecie? – tyż tak wonio? Ōna mo durch taki woń, jako ta Wasza apluzina wtedy. Jezderkusie, jako ta skôrka była gorzko. Ugryzła i boła sie wypluć, boch już wtedy wiedziała, że ku muszkatom mie zawrzycie. Pogryzła... połkła... jak wyście sie śmioli! Na pewno niy chcecie? Dobro apluzina, weźcie se...

*Ciotka Tila yno leży a zaglondo.*

USIA:

Jezderkusie! Dyc jo ôbiecała, że jo wos poczosza! Mom wszystko! I grzebiyń, i zdradło, i nożyczki, czy jako wyście godali, szyrki... zarozki wos poczosza. Jo pamiyntom, jak wyście przoli tym waszym włosom, jako żeście mi godali: „Ta motyka, twoja matka, nigdy takich włosōw ni miała, yno taki wyszkubki, ale to przez gorzoła...”, i tak żeście przy tym sie czosali, czosali, a jo słochoła... pamiyntocie? Doczkejcie, wezna grzebiyń...

*Ciotka Tila yno leży a zaglondo.*

USIA:

(*Biere grzebiyń a nożyce.*) A pamiyntom tyż te moi włosy, jako leżały na delōfce. Obetliście mi je do skóry... prawie że glaca miała. We szkole wszy były i padaliście, że podciepa w doma ściyrpicie, ale wszy ni. Piyrsze poczosaliście te wasze długi, czorne włosy, pyrczek eście se zrobili, a potym dowej! Ryczała, ryczała toście mie zimnom wodom pololi...

*Ciotka Tila yno leży a zaglondo. Usia jom czosze.*

USIA:

Widzicie, jako was piyknie czosza? Zarozki wom pyrczek zrobia... dziecka w szkole jak mie zejrzaly, to na mie „Rebeka” zaczy wołać, „winyziyn”, „Żyd” za mnom wołały. To już sztyrdziści piynć lot tymu... no, niy starejcie sie, piyknie wos czosza, piyknie... pyrczek wom upleta... a jak dziecka za mnom marasym ciepaly! Cera ôd ôżyroccki, lyso, chudo jak Ponbōczek... Wiele razy mie potym w haźlu zamkły... no, już kończa plyść, wstonżeczka Wom piykno, niebiesko wpleta, pamiyntom, jak eście niy ciyrpieli niebieskiego.

*Ciotka Tila yno leży a zaglondo. Usia biere nożyce.*

USIA:

Ale wiycie, krziwo mi tyn pyrczek wyszoł, krziwo... a wyście mie zawsze, jak ech tako pociepano marasym do chałpy prziszła, zloli zimnom wodom i do muszkatoŵ... ni, ni możecie mieć takigo krzywego pyrczka... Wiycie co, my go utnymy!

*Ucino pyrczek, potym rōwno włosy.*

Ja, tera je duzo lepij. I flyjgerki bydom rade, mynij roboty majom. Ja, lepij je? Pra? Ja, dyc widza, że tyż tak myślicie...

*Wchodzi flyjgerka*

FLYJGERKA:

Pani Dubiel, ja wszystko rozumiem, ale kończymy już, co?

USIA:

Ja, ja... jo sie tu tak z cioteczkom zasiedziała, popłakały my se... ale trza iść. Z Bogiym, cioteczko, niy starejcie sie, jo zaś przida do Wos.

*Flyjgerka pocieszona Usie w siyni szpitala. Godajom se.*

FLYJGERKA:

*(Widzi, jako Usia je splanakano. Chce jom pocieszyć, godo po naszymu.)* Ōgromnie mi wos szkoda. I wyście z Niymiec zarozki przijechali...

USIA:

Do moij ciotki! Jo tu zostana jakiś czas... byda sie niom zajmować. Jo jom szpirytusym natrzyła, coby odleżynōw ni miała...

FLYJGERKA (ABO SIOSTRZICZKA):

Ja, to je ōgromnie ważne... wycie jako to z nami... pacjentōw ōd groma, niy wiedzieć, w co rynce wrazić...

USIA:

Bez toż zech jej włosy trocha zōnaczyła, lepij sie je bydzie czosać i myć. Ale jo Wom byda pomagać... A siostrziczko... jako wy myślicie, wiewa to tak potrwo?

FLYJGERKA:

Niy wiymy. Godoł wom pewniwym dochtor, że nom sie zdo, że ona wszystko miarkuje. Ale przy jej latach roztomancie może być...

USIA:

Ona jest twardo baba!

FLYJGERKA:

Ja, ja, na pewno! Ale wycie... niy wiym, jak dłogo jom mogliwym trzimać. Niy za dłogo... i tak leży tu skuli tego, że tu bez mała kiejs robiła. Niy wiym czy Wom moga godać... ōna sie może w każdej chwili stracić... na razie je fest słabo, ale jakby to miało dłożij trwać, to musicie poszukać jakigo hospicjum nojlepszy...

USIA:

Ja, jo sie wszystkim zajmna, wszyndzij jom byda opatrować... jo jest coś winno ciotce...

SCYNA ABO BINA CZWORTO

*Usia poszła, pielyngniarka ostała sama. Idzie aż do dźwyrzi, chyba to je dyżurka.  
Godo do kogoś, kto tam siedzi.*

FLYJGERKA:

*Aż ech sie popłakała. Biydno baba, tak sie tym przejanya, godom Ci.  
Nie słychać, co ktoś ôdpowiało.*

FLYJGERKA:

*Lepszy jak rodzono cera, lepszy. Żeby sie tak kto mnom przejon na starość,  
oby...*

SCYNA ABO BINA PIONTO

*W szpitalu już cima. Ciotka Tila yno leży za zaglondo.*

# SYNECZEK (MONODRAM)

Joanna Sodzawiczny

Mom pierońsko utropa i niy wiym co z tym poczōńć.

Moga Wom to opowiedzieć? No eli chcecie posuchać bo coż to je za gyfil suchać staranio cudzy baby... No ale kej żeście ôstali, toż posuchejcie...

No toż wszystko napoczło sie ôd tego że mōj synek mi padoł, że sie z chałpy wykłudzo...

Abo nawet niy... napoczło sie ôd tego, że dwadziścia lot tymu okozało sie, że jo ni ma sama... Że byda miała bajtla. A że jo była modo, toch myślała, że wszystko bydzie inaczy. No ale koniec końców ôkozało sie, że z ôjca tego bajtla wyloz taki soroń, że terozki niy chce mi sie ô nim nawet spominać. W każdym razie zostałach sie sama z bajtlym.

Czy jo chciała mieć bubusia? Niy. Ale sie ugoniło i bez wydanie ôstałach mamulkom.

A wiycie co to je za utropa samyj synka chować i to tak żeby z niygo wyloz zabrany karlus, a niy ślimok, miglanc abo jaki breweryjok? Wiycie jak to jest robić i za matka i za fatra ôroz? Wiycie wiela to je staranio, wiela nocy kiej zwyrtosz sie z boku na bok i niy wiysz co poradzić? I niy mosz sie komu pożolić, bo jak zaczniesz co godać, to ci zaro dogadujom jak i co robić, bo przeca ci, co majōm cołko rodzina, zowždy wiedzom lepi, nawet jak chłop ôżyrok, a baba motyka, jak ich bajtle to ciućmoki i cielepy, to i tak to som lepsze bajtle niż tyn, co go sama chowosz. No i tako familio z chopym lebrym je i tak lepszio jak ta twoja bez. Taki szpicaty godki niyroz żech miała pełno rzić... Czasym lepi nic niy pedzieć niż pedzieć dwa słowa za dużo. Mały bajukoł, zgłobił, deptoł i wyrobił i to zawsze stykało żeby uholkać nojgorsze nerwy. A u nos zowždy wiyncy było chichranio sie niż jamranio i staranio.

Tera, jak to wszystko spominom, to idzie sie pośmioć ale padejcie se sami jak fest chce ci sie śmioć jak ci bajtel zarzigo cało izba i wszysjtkie bety? Jak zaś pojśco rajtuzy i galoty? Jak ty sie uwijosz do roboty a ôn niy chce stanōńć? Abo i stanie ale przodzi sie jeszcze legnie? Niy chce sie ôblyc i niy

ôblecze tego switerka, yno tyn, co wczoraj zmarasił, no i ôn może poczekać, aż tamtyn sie wypiera i wybigluje, ale ty niy możesz, bo za chwila szychta zaczynosz. Jaaa, ôn może doczkać i ja, może wyłyż, ale przodzi sie pobawi, abo jednak niy może wyłyż, bo jeszcze sie niy pobawił, no i zupa zjy, ale niy w tym talyrzu, chocioż talyrz mu sie podobo ale zupy jeś jednak niy bydzie. Toż to cołko komedyjo. Bestoż jo cały czos godom że bajtle to som do modych, to cza jednak mieć siła i nerwy, żeby durś powtarzać w koło macieju: Niy! Niy wolno! Niy chytej! Niy dowej! Niy maraś! Niy skokej! Niy lotej... mom recht, pra? No i jeszcze na ôstatek trza dołożyć charlanie, smarkanie, kucanie i drapszajs, czyli to co ci dziecko z przedszkola przyniesie, a co ci je potrzebne jak godka ku szkubaczce. Boroczek leży i stynko a ty... dzwonisz po rewiyr, musisz go wziōnć, bo z kim małego ôstawisz, ale wiysz że geltak bydzie myńszy, a te wszystkie pile, tagetki i syropy to som przeca blank tonie, pra? Sprōbuj naściskać piniyndzy, jak wiysz, że zaro trza bydzie z kupki podebrać i bulić za lyki, szczewiki czy cosik inkszego. A miała być rajza w wakacje... No ale co? Komu go podciepniesz?

Jak to padajom, mały bajtel, małe staranie, a jak urośnie... To idzie do szkoły... Nowy cyrk i nowe małpice. Mój synek nigdy na szkoła kamyniami niy ciepoł, ale orzeł z niygo tyż nigdy niy był. Jo wom powiym, że mie by sie tera już niy chciało nazot tego przerobiać. Przydziesz z roboty do dom, tu uworz, poschraniej, wypier, wybigluj, do sklepu zajedź, wōngel ściepej, zegrodek skoś, a jeszcze bajtlowi do heftōw wejrzysz, tu mosz wywiadōwka, tam mosz akadymio. Wiycie, jo była richtig rada, jak młody już do gimnazjum poszeł. Taki sie samodzielny zrobił.

Jaaa, yno kedy to minyło? Tu cie mały frupek za rynka durś trzimo, paczy na ciebie tymi ôczkami i co mu niy powiysz, w to ci uwierzy, a za chwila... Pachoł taki... Jak moga wom coś pedzieć, to jak mocie małe bajtle to pociepcie czasym to, co mocie do zrobiynio i pobowcie sie z nimi. Bo to tak drap minie, że sie ani ôbejrzycie, a te wasze dzieciōnteczko już matura zdowo... pamiyntom jak mi pedzioł, że sie wykludzo. Jo do niygo nawijom, co mo zrobić, jak mie niy bydzie... miałach na urlop jechać i modziok som miał ôstać pora dni... A tyn mi pado, że go tyż niy bydzie... Myślałach, że ôn tyż kaj z kolegami wyfurgnie... Ale niy... padoł, co sie wykludzo...

Jo myślała, że mi serce pynknie, jo dwa tydzie ślimtała, a coch na niego wejrzała, to mi zaro płaczki wyłaziły. Powiedz mi synek, czamu? Czamu ty

nij chcesz iś studirować? Czamu już cie tak gno do ty dorosłości? Jeszcze sie tak trefiło, że dwa lata na zadek jo poznała takigo chopeczka z gorolyje, no i ôn sam u nos coraz czyńsci bywo. No i tak se padom, że można jedyn drugimu nij szpasować, bo ôba razym to sie raczy nij pogodajom. No ale jak zech sie ich spytała, to zech sie dowiedziała, że i jedyn i drugi jest fest oszczyndny w godce i wcale nij muszôm za wiela godać żeby mieć sie w zocy. Aby tyła... Jo wom godom, że jo była wtynczos choby baba z hicwelami, ale tyn mōj maluśki syneczek tyż mo swoje za uszami, jaaaaa, ôn se nij do nic pedzieć, ôn już nij usuchnie, a że jo jest, jako jest, toż musielimy sie chycić. Napowciepywalimy sie wiela wlezie... Jo mu padała, co wiedziała, a ôn do mie swoje. Jak sie już ôstudziło, to po troszku myślałach ô tym wszystkim... I tak poleku do mie przyłaziło, że to ni ma tak. Że jakeś se, matko, wychowała akuratnego synka, takigo co poradzi i nawarzyć i poschraniac i se łachy pobigluje i to ni ma żodno cielepa, kero sie w rzici rady dać nij umi, to czamu ty sie, babo, dziwisz, że ôn tera chce som? Że co z tego, że inksze bajtle napoczli sztudyrowanie? Jak tyn twōj nij chce, to przeca świat sie skuli tego nij obali... i wyicie... jo mu tera tak trocha zowiszcza, że ôn taki mody, że świat stoi przed nim otworem... Mieć tyn rozum a tamte lata, pra?... Czy jo go nauczyła wszystkigo? Czy jo mu dobrze wytuplikowała, ô co sie w życiu rozchodzi? Nij. Ale pokoźcie mi piyrwszego, co to wszystko poradzi, takigo co sie nigdy nij ciulnoł... Nij roz sie synek w życiu chachnie, ale cōż... jak każdy.

Prziszoł w końcu tyn tydziyń, że trza synka było spakować i powiył Wom... Jak ôn mie przy tym wszystkim nerwowoł. Dyć ôn je dorosły, ôn wszyjsko wiy, ôn poradzi, nic mu nij godej, nic mu nij rodź, nic nij dowej... bo ôn WIY. Czy to idzie spokopić, że możesz tak fest przoć komuś i w jednakim momyncie chcesz w niygo laciem ciepać? W ciōngu tych poru ôstatnich dni ôn sie zrobił taki zmierzły, taki zdrzaźniony, takie mioł muki i taki śniego soroń wylaził, że jak w końcu my go do Krakowa wywiyźli, to jo se aże dychła.

Na ôstatek zech mu jeszcze padała, że w każdy chwili może przyś nazot do dom. Sam na niygo izba zawsze czeko, w lodówce bydzie to, co lubi, a maszkety bydom kaj zawsze. Na razie nij chce. Chce być DOROSŁY. Mosz mieć, synek. Ale już pora razy zadzwonił, to jakoś to chyba bydzie, nij?

A jo?



Jak my te wszystkie pakety z klamorami do auta powciepowali, jakech go zawiozła do jego nowej chałpy, jak mi pedzioł: „Jedź już”, toch się zaś poslimtała. Tyn mój mie do dom przywiōz, wieczerso zrobił ze świeczkami, wina my się napili, a potym... no, potym my świyntowali... Co wom zresztōm byda tuplikować? Jo mom dziepiero sztyrdziści, tyn mój tyż niywiele wyncy, toż się dodejcie dwa do dwōch.

Powiyom Wom, że to blank fajne, jak się niy trza durś wadzić ô telewizor, jak se moga uwarzić to, co ja chca a niy to, co ftoś bydzie jod. Jak se moga łązić sago po chałpie i jak se sama nagarusza to i sama wszystko poschraniom i już się niy zastanawiom co za cwergi mi w doma maraszom. Jak się ida legnōńc, to już niy zaglōndōm z ôkna do ôkna kaj się tyn gizzd smyko. Do dom się niy musza uwijać, chca się poszwyndać po sklepach, to się szwyndom, chca iść na klachy, to ida, jak mom smak, to się szalot kupia i w parku zjym. Podobom mi się to.

No i tera dochodzimy do ty utropy, ô kery żech spominała na samym poczōntku... pamiyntocie, jak żech wom godała ô ty wieczery? I ô tym świyntowaniu i ônacyniu? Jakoś tak ôd poru dni łąza i niy umia spokopić, co je niy tak... W końcu żech się kapła... kupiłach test ciōńżowy...

I wyicie...

Pozytywny...

*Westchnienie*

Wojciech Szwiec

OSOBY:

EELIS

SZALAS

SCHWIETZ

BRADÉ

MATHILDE

HERTA

WACHTYRZ

FRELA

*Rok 1924. Miyszkanie we kamiyniycy kajś miyndzy Breslau a Gleiwitz. Zaniedbano izba. Ściany zmazane ze starości. Na śródku stoi byfjy, po lewyj szrank i pryk, po prawyj, kole drzwirzy, drugi szrank. Na śródku biny musi stoć stół, a na ścianie trocha krziwo wisi Wiluś, ostatni pruski cysorz. Na rycze siedzi chop i czyści pistoła Lugera. Őroz słyhać kroki na drzewiannych schodach, klupanie do drzwirzy. Żodyn nic niy godo, żodyn niy czeko na przizwolyni. Wchodzm dwa chopy.*

EELIS:

Jesteście doma? Panie Schwietz?!

*Chop w izbie chowie pistoła i biere do rynki jakisikey szczewik, kiery sie tam poniewiuro.*

SZALAS:

Patrz, Eelis, siedzi tam, szczewik naprawio.

EELIS:

Mocie tu trocha cima, można otworza ôkno abo cofna te gardiny?

SZALAS:

Yno dej pozôr na ta gardinsztanga, jak my sam byli tu ostatnim razym to sleciała na zol.

*Eelis odślanio ôkno i w izbie robi sie widno.*

EELIS:

Zaroz lepij. Panie Schwietz, nic niy godocie...

SCHWIETZ:

Rozmyśłom. Nierod wos widza.

SZALAS:

Wyście som koždymu nieradzi ale można sie napijemy po sznapsie to bydzie wom sie lepij patrzeć.

SCHWIETZ:

Szalas... ty wiysz kaj som szklonki...

*Eelis wyciōngo flaszką, Szalas kopie we byfyju, szuko czystych szklonek.  
Zaroz rozlewajom do trzech.*

SCHWIETZ:

Robota jako mocie?

SZALAS:

Ja, radzimy se, ostatnio robimy na banie.

EELIS:

Prosto i uczciwo robota.

SCHWIETZ:

Okradocie wagony?

EELIS:

A kaj... deicie pokōj...

SCHWIETZ:

Dyć wos żodyn do uczciwyj roboty niy weźnie. To niy musicie mi tu smolić gupot.

SZALAS:

Nima sie co nerwować, były dobre czasy i sie skończyły. Terozki som gorsze i lepij już żodnymu ni bydzie.

EELIS:

Słyszolech, że i u wos sie niy przelywo. Wiluś obiycoł Wom pyndzyjo, yno co to za pyndzyjo, pra?

SCHWIETZ:

Tymu je winiyn Schottzel a niy cysorz.

SZALAS:

Eli to Wiluś wiedzioł, że wszystko sie zesro?

EELIS:

Możno Schottzel wiedzioł?

SCHWIETZ:

Nie, ale Schottzel zdradził. To była zwykło motyka. Tako gańba mie skuli takiego srocha... niy umia tego przeboleć.

*Chopy polewajom. Kiwajom przy tymu łepami.*

SCHWIETZ:

Skozali mie!

EELIS:

Dyć małowiewa! Co to je trzi marki sztropy!

SCHWIETZ:

Z zamianom na jedyn dziyn haresztu! I skuli czego!? Tak sie niy traktuje krölewskiego pomazańca!

SZALAS:

To były pomōwiynia, gupio godka, każdy to wiy. Schottzel miał protektora i to tyż każdemu jest wiadome.

SCHWIETZ:

Miołech go rekomendować, napisać referyncjo i tela. To sie zaczyno ôd tego, że mie zapytali czy moga go polecieć do roboty. A jo pedzioł, że niy moga go żodnymu polecieć boch nima za niego pewny! Tak jak byłech pewny za ciebie, Eelis, abo za ciebie, Szalas.

*Chopy podnoszom szklonki, kiwajom łepami, patrzom sie na swoje szczewiki.*

SCHWIETZ:

Jechali my zusamen na robota. Wielki proces, robota dlo mie i trzech pomagierów, Siedzimy na banie, trzi ćwierci na dziesiōnto, mijo ćwierć, nima go, mijo zaś ćwierć... Cug już stoi na banhofie, Schottzla nima. Siadomy do cuga. Gwizdajom. Schottzla nima. Jeronie!! Cug ruszo, wejrzołech bez ôkno i widza jak leci, skoko... Wsiod. No, chopy, co powiyecie? Dyć niy idzie na nim polegać! Skuli tego, że jedyn pomagier prziszoł nieskoro na cug mieli my odwołać egzekucyjo? W tym państwie to nima możliwe. To może yno Ponbōczek, cysorz abo król! I to w tyj kolejności! Niy żodyn Schottzel.

EELIS:

Niy gorszcie sie. Dobrze, że dostał wtedy w ciaprok.

SCHWIETZ:

Tako gańba mi potym zrobił, myślelech że do roboty już nazot niy przida.  
Wróciłech do dom i padom żonie... Herta...

EELIS i SZALAS *unisono*: Świyc, Ponbōczku, nad jeji śwyntom duszom!

SCHWIETZ:

Ja. Herta to była śwynto kobiyta... Padom jij, wracomy do Groß Döbern, naszego Wielkiego Dobrzynia! Ta sie wylonkała i zaczyno ślimtać. „Pojakimu. Pojakimu?...” Choć sama beczala, to ledwo jij sie udało mie udobrzeć.

SZALAS:

Co byście w tym Dobrzyniu porobiali? Dalibyście pokōj.

SCHWIETZ:

To, co robiłech downij. Otwarbych masarnia i zbijoł świnie.

EELIS:

Cołkie życie zbijomy świnie.

SCHWIETZ:

Jeszcze w 1895 miołech tam prawdziwo masarnia, nojlepszy preswuszt był u Schwietza, nawet z Opolo jeździli kosztować moich leberwusztów...

*Ôroz drzwirza sie ôtwiyrajom, na progu stowo wachtyrz, kiery wachuje, coby  
żodyn niy ijscoł we ainfarcie, zamiato plac i mo ôko na wszystko i wszystkich.*

WACHTYRZ:

Panie Schwietz, na placu stoi chop, panisko jakiesikiej, godajom, że idom do  
wos. Pedziołech, że ida vos poszukać, bo żodyn niy wiy kaj żeście som.

SCHWIETZ:

Panisko? Czego chcom ôd takigo dziada jak jo? Rzyknijcie mu, zech je niy-  
mocny abo ôżarty.

WACHTYRZ:

Powiyom mu prowda. Dom mu znać, że tu siedzicie ôd pyndzyje i że ôdwie-  
dzajom vos yno te dwa melbuksy, z kierymi pijecie sznaps.

SZALAS:

Dowej pozôr, co godosz.

EELIS:

Chcesz dostać w dziøb?

WACHTYRZ:

Mom vos w rzici, gizdy! Skuli mie możecie sie już brać.

SCHWIETZ:

Siadejcie chopy i dejcie pokōj wachtyrzowi, to je nasz kamrat, ōn mo recht, pogodomy z tym princym. Zoboczymy czego chce.

WACHTYRZ:

Możno tyn chop mo do was jakie piniondze?

SCHWIETZ:

Wejrzyjcie, panie wachtyrz, stoi tam jeszcze?

WACHTYRZ:

Ja, stoi. Kurzy prawie cygaret. To je pon, godom wom... Mo taki szakiet moderny i hut na wzor angielski.

*Wachtyrz ōtwiyro ōkno, wychylo sie i ryczy na plac.*

WACHTYRZ:

Panie!!! Wielgi panie! Pōdźcie sam! Tu je, na trzecim sztoku, na som wiyrch, na som wiyrch!

*Wachtyrz odwraco głowa do izby i godo.*

WACHTYRZ:

Idzie...

SCHWIETZ:

Podziynkowoł. Jak zaś przidzie pyndzyjo...

WACHTYRZ:

Nima o czym godać...

*Wachtyrz zaglōndo jeszcze szpetnie na Eelisa i Szalasa, kierzy gibko chowajom szklonki i halba do byfyja. Wylazi z izby i w drzwirzach mijo sie z chopym w jasnym ancugu i modernym hucie.*

*Chop stowo na pośrodku izby i rozglādo sie po gymbach, kiere choby mamlasy patrzom na niego, a wejrzynie majom myntne choby woda we guliku. Patrzy czy może sie kaś siednōnć i czy sie przy tym niy zmaże jasnych galot. Eelis podowo mu jakosikej ryczka abo stolek, ale chop niy siado yno zaczyno godka.*

CHOP:

Jo sie mianuja Georg Brade i przisielech poznać osoba, dlo kieryj mom wielki uszanowani i kieryj sie tukej na pośrodku tyj izby kłaniom.

*Richtik seblyko hut i kłanio sie nisko i dość długo.*

BRADE:

Wyście som pan Lorenz Schwietz, krōlewski kat. Piyrszy topōr Prus!

*Chopy dalij siedzom z pootwiyranymi gymbami.*

BRADE (*wskazuje na Eelisa i Szalasa*):

Te dwa chopy to przeca Eelis i Szalas? Prawe rynce, szpece od wiyszanio mordyrzy. I wom sie kłaniom, panowie. Czytom o Vos we zaitungach. Czytom niy yno po niymiecku ale i po polsku. Wasza sława downo tymu opuściła Prusy.

EELIS:

Coś pan za fest słodysz, panie.

SZALAS:

Lepij nos ôstow we pokoju. Pan Schwietz je na pyndzyi i niy trza go szterować.

SCHWIETZ:

Chopy, dejcie mu pedzieć, czego chce.

BRADE:

Jednyj yno rzeczy. Słyszolech, że na waszym toporze grawerowaliście miano każdego, kery ôd tego topora stracił łep. Je to prawda?

SCHWIETZ:

Ja, to je prawda.

SZALAS:

Ze sto nazwisk tam stoi.

EELIS:

Godka. Niekierych brakuje...

SZALAS:

...bo niekierych my wiyszali.

*Śmiejom sie gupio ale widzom, że yno ich to weseli i zarozki robi sie cicho.*

BRADE:

Rod bych tyn topōr obejrzoł.

EELIS:

Tu nima nic do oglōndanio.

SZALAS:

Tu nima nic za darmo.

BRADE:

Niy starejcie sie, mom ruby portomel.

SCHWIETZ:

Niy pokoża! Dość tego!

*Brade wyciąga z szakieta koperta, z kieryj wystowo konsek jakigoś cajtunga.*

BRADE:

Tu stoi, że skuli biydy i zawodu swoim żywobyciem Lorenz Schwietz – kat pruski, kiery scion stu dwudziestu trzech mordyrzy... wystawił ôn narzyn-dzia swoje na pokaz za piniondze! I każdy, fto do pora marek może sie nawet schwietzowego topora pomacać. Po jakimu jo nimoga?

SCHWIETZ:

*/cedzi choby mu sie gibis zacion/* Bo to je dlo mie gańba!

BRADE:

Pora lot tymu to niy była gańba?

SCHWIETZ:

Pora lot tymu moja ślubno była choro a jo nimioł piyniynndzy na dochtorōw. Terozki mi żol, terozki mie gańba boch za to pokazowani i tak nic niy zarobił, a Herta i tak niy wydobrzała i umarła. Jo ôstołech tu som! Jo i mōj topōr... I ta para nojwierniejszych kamratōw, kierzy i tak przichodzm coroz rzodzij i można som tu ostatni roz... Chopy, wyciōngcie ta halba, napijemy sie jeszcze...

*Eelis wyciōngo flaszka, Szalas stawio nazot szklonki, dokłodo jeszcze jedna dlo Bradego. Tyn biere szklonka, niy czeko na żodnego i wypijo, przetyko i krziwi pyskiem, bo gorzoła je oszkliwo.*

BRADE:

Możno pamiyntocie tego bambonia spod Lublińca, kiery zabił baba i jeji baj-tla? Jedna z piyrszych spraw Schwietza!

EELIS:

Richard Osada...

SZALAS:

1900 rok! Piykne czasy!



SCHWIETZ:

Ścinalimy go w Brzegu. To był parszywy wieprz. Mōg tyj babie dać pokōj, za fajno niy była, ani nawet bogato.

EELIS:

Szkoda tego bajtla.

BRADE:

Ale po jakimu ich zabił, to chyba żodyn niy doszeł.

EELIS:

Bo sie niy przyznoł, ale jak my go na plac hareshztu kludzili, kaj miol łep położyć, to dar sie choby gusiok.

SZALAS:

We dwóch my go chycili, a zdało sie, że niy poradzymy go utrzymać.

BRADE:

Jego miano jest wygrawerowane na toprze?

EELIS:

Przeklynte miano tego istnego i jeszcze mocka inszych.

SZALAS:

Bydzie tam Kosicki z Miyndzyrzecza, kery pozbiył cołko familijo Greiserōw.

EELIS:

Bydzie.

BRADE:

A tyn mordyrz z Berlina, kiery kelnera Gierlotki zatrzas, bydzie tam?

SZALAS:

Rudolf Hening... tyn waryjot.

SCHWIETZ:

Wszystkich ich pamiyntom. Terozki tak myśla, że niy trza było żodnego grawerować, bo to je i tak w moim łepie.

EELIS:

Nojgorszy był tyn baniorz Kempa.

SZALAS:

Tyn smark?

EELIS:

To było w jedenostym roku jak w Gleiwitz robotnik kolejowy Kempa zabił zwrotnicowego Bialle.

SCHWIETZ:

To był bajtel prawie. Był 19 lot stary jak związoł tego Bialle i urżnył mu gardło.

SZALAS:

Był ciekawy, chcioł wiedzieć jak to jest urzñōńc komuś gardło.

EELIS:

Chlast i po ptokach.

SZALAS:

Gardło za gardło, taki był wyrok gliwickigo sōndu. Nasz pryncypał Schwietz scinoł go osobiście!

BRADE:

Panie Schwietz, możecie mi pokazać wasz topōr?

*Schwietz stowo, podchodzi do pryka, na kierym leżom jakiesikiej niepościelone bety. Klynko i wyciōngo spod pryka dupny pozawijany tobōł. Chopy gibko chowajōm ze stoła flaszka, szklonki i roztomajte hamozie. Eelis rynkowym szakieta zamiato niewidoczne kruszki. Schwietz kładzie tobōł i poleku odwijo. Wszyscy nachylajom sie nad stołym, z kierego dochodzi piykny blask, choby sonnenschein.*

BRADE:

To je parada! To je piykne!

SCHWIETZ:

Krew ludzko to szlifowała.

SZALAS:

Kawał historie.

SCHWIETZ:

Panie Brade, jak docie mi tela złota, wiela waży tyn topōr, to moga wom go sprzedać.

BRADE:

Toć!!! Umowa stoi.

SCHWIETZ:

Już tego tu niy chca. Eelis i Szalas, byǳcie tak dobrzy i odkludźcie topōr do pana Bradego. I przidźcie zaro nazot z zapłatom.

*Schwietz stowo przodym do publiczności i tak stoi. Chopy pakujom topōr. Eelis z kapsy szakieta wyciāgo do połowy prōžno flaszka i stawio na stole. Chopy klaniajom się nisko, nic niy godajom, bierom każdy swōj hut i po cichu wylażom z pomieszkano kata. Schwietz ostowo som. Siado do stoła, otwiyro halba i popijo choby zelter. Ani mu sie niy chepnie, ani sie niy skrziwi yno patrzy jakosikej przed sia.*

SCHWIETZ:

Herta, topora już nima.

*Ze szranku po cichu wylazi chudo, staro baba w koszuli. Niy mo zymbōw, je  
glacato i szpetno.*

HERTA:

Koźde imie tam wygrawerowane jest przeklynte, yno jednego miana tam za-  
brakło!

SCHWIETZ:

Herta!

HERTA:

Twoigo miana tam nima, Lorenc! Sprzedołeś go już downo, sprzedowołeś  
go jak moja dusza na tajle. Koźdy mōg pomacać jak jakoś hadra, motyka,  
szlondra. Myślisz, że te dwa gizdy przidom tu nazot? Jak był żeś młody i gupi  
wtedy w Dobrzyniu pod kościołem kaj brałach cie za chopa, tak jeżeś stary  
i gupi. Stary, gupi i przeklynty. Panowie stanowiōm prawa ale sami je majōm  
w głymbokij rzici. Panowie pragnom i łaknom prawa i sprawiedliwości. A ty,  
guptasiu, myślisz żeś jest tego prawa i sprawiedliwości mieczem i pomazań-  
cym. Psinco... Jakby my zostali w Groß Döbern, zbijali by my świnie, robili-  
by my wuszt i zowdy było by nom dobrze.

*Schwietz siedzi przy stole i trzymie się za głowa.*

SCHWIETZ:

Idź, Herta. Idź, lygni sie na chwila do pryka, lygnij sie a jo zaroz zrobia ci  
tyju.

*Herta odwraco sie, włazi do prykola, pod bety tak że widać jak jij wystajom  
spad pierziny sine zmazane szłapy. Schwietz wypijo jeszcze łyk gorzoły.*

*Otwiyrajom sie drzwierza drugigo szranku.*

*Wylazi z nich młodo frela obleczono modnie i wyzywająco. Gymba mo  
umalowano, kudły ryszawe i rozpuszczone. Schwietz sie patrzy na nia trocha  
ze strachym, trocha z zaineresowaniym – miarkuje eli to nima to jako motyka.*

SCHWIETZ:

Bier sie, hekso.

FRELA:

Możesz mi godać „Mathilde”, mieczu sprawiedliwości. Tak patrzy po twoim pomieszkaniu, Lorenc i ciesza się, że tak ci się żywobyć poukładało. Moc się ciesza, że miyszkosz we takim chlywiku.

SCHWIETZ:

Mie się zdo, że cie tu żodyn niy zapraszoł.

MATHILDE:

Jo tu niy prziszła z tobom zolycić. Słyszałaś co godo o tobie twoja nieżywo baba. Mie się zdo, że mo recht.

SCHWIETZ:

Babskie fulanie.

MATHILDE:

Dobry z ciebie handlyrz, za wiela sprzedoleś swoje życie? Bydzie tego 11 funtów złota?

SCHWIETZ:

Moje życie i moje złoto. Tela mi zostanie za moja robota. Już dość tyj gańby, niy bydzie na mie pluł żodyn Schottzel. niy byda musioł żodnymu za piyniondze nic pokazywać.

MATHILDE:

Tvoja gańba się dopiyo zaczyno. Dobrze o tym wiysz. Brade bydzie terazki o tobie ôsprawioł, mozno po twojij śmierci wypcho twoigo trupa i bydzie każdemu pokazywoł nojwiynkszego kata na Śląsku.

SCHWIETZ:

W Prusach!

MATHILDE:

Toć w Prusach *śmieje się zalotnie*

SCHWIETZ:

Tego wymago sprawiedliwość. Na to je prawo co by mieć go w zocy. Jo jest ta sprawiedliwość! Poradzisz to spokojić, dziolszko?

MATHILDE:

Jak człowiek zabijo człowieka to jest to zowdy sprawiedliwe? Znołeś mozno tako służka Helenka od Urbaniaka.

SCHWIETZ:

Znołech. Scinołech jom za zabicie panicza z majöntku von Witowskiego.

MATHILDE:

To wiysz mozno, że ta boroka tyn piyknie urodzony panicz napasztowoł?

SCHWIETZ:

Śmierć za śmierć!

MATHILDE:

To je wasza sprawiedliwość? A można pamiyntosz Pelagia Pawlakowo?

SCHWIETZ:

Mynżobōjczyni!

MATHILDE:

Tyn chop durś jom proł. Proł dziecka i mało ich niy pozbiło. Widziałach  
Wos kludzić jom na śmierć. Wachtyrze w ancugach, ksiynżoszek, jakieś be-  
amtry ze sądu i kat Schwietz w czornym surducie. To była wasza ceremonio!  
I te szczurowate chopki z cajtungōw, kierzy śmierć tyj kobiety podowajom  
jako sensacyjno wiadomość! Kara śmierci to nima nic inszego yno gańba dlo  
cywilizowanego państwa!

SCHWIETZ:

Co to za socjalistyczne gupoty! Jest wino, to musi być kara. Pra?

MATHILDE:

Nawet ksiynża bierom w tym udział! Mie sie zdo, że ludzie, kierzy poradom  
z zimnōm krwiom mordować kobiety muszom mieć z duszom coś nierichtik.

SCHWIETZ:

Mom czyste sumiynie, bo to jo je karzōnce ramie sprawiedliwości!

*Ôroz rozlego się zawodzynie, jakiesikiej bulgotani i śpiyw idzie z pryka.*

HERTA:

Pamiyntocie wszyscy Edwarda Gōrnika,  
kiery pomordował ludzi w Katowicach?  
Policyno w śledztwie trudnym się uwijo  
Bo zginyła ôroz cołko familijo

Panōw komisorzy wszyscy majōm w zocy  
Mordyrza chycili tuż po Wielkijnocy  
Syndzia wydoł wyrok, bydzie srogo kara  
Głowa do pod topōr tyn, fto przebroł miara

Do Katowic zjechał kat Schwietz razem z synem  
to z ich krwawyj rynki Edward Gōrnik zginie  
Swōm wielkom posturom młodziok przekonuje  
choć piyrszy roz wyrok taki wykonuje

Miołeś, kacie, syna, kacie, miołeś ôjca  
sami ostaniecie do samego końca...

SCHWIETZ:

Niy godej jego miana!

HERTA:

To był twój syn! Zrobiłżeś z niego morderza!

SCHWIETZ:

Cicho, babo.

*Słysać yno zawodzynie na ta sama melodia. Mathilde sie śmieje...*

MATHILDE:

Myślisz, że twój synek żyje? Można sie stracił na wielkij wojnie? Tego sie już  
niy dowiesz.

SCHWIETZ:

We Katowicach widziolech go ôstatni raz.

MATHILDE:

Wykonałeś sto dwadziścia trzy egzekucje. Wiele ci już je lot?

SCHWIETZ:

Siedymdziesiönt trzy...

MATHILDE:

Trzy lata tymu w 1921 zbijołeś tego morderza Schumanna z Berlina?

SCHWIETZ:

Ja. Ubił sześciu ludzi.

MATHILDE:

Żodyn cie niy zastõmpi. Nima już katõw. Wiysz? Spatte sie zastrzelił. A to  
była figura! Kat nad katy, nojwiynkszy morderz. Pora dni tymu strzyłoł  
do siebie Kraus. Z takij samyj pistołli jak twoja... Tyś je ôstatni. Schwietz,  
idom po ciebie twoje beboki. Eelis i Szalas downo niy żyjom, Herta żyje yno  
w twoim chorym łepie. Jo tyż tu ôstana. Poczekom na ciebie we szranku.

*Mathilde wraco sie ponyntnym krokiem w strona szranku. Chowie sie do środka  
i zawiyro drzwirza.*

*Z pryka juzaś rozlego sie jakisikej bulgot abo charczynie i leżõnco tam Herta  
zaczyno śpiywać.*

HERTA:

Kaj je twōj błyszczōncy topōr, kaj położysz kark  
Pondziesz z nami po dobroci czy sie bydziesz darł  
Kaj je twoja szubienica, kaj je powrōz twōj  
Na straży pańskiego prawa bez wahanja stōj  
Kaj wyrosła twoja gałōnż, kaj rośnie twōj las  
bydziesz miōł otwarte ślypia kej nadyńdzie czas?

KURTYNA

*Chociorz wiynkszość bohaterōw snokwilech we swoim łepie, a opisane zdarzyni  
nojpewnij sie niy stało, to kat Schwietz istniōł doprowdy. O historie Lorenza  
Schwietza idzie poczytać we starych zaitungach i w buchu, kiery w 1924 roku  
wydoł Helmuth Kionka: Das Tagebuch des Scharfrichters Schwietz aus Breslau  
über seine*

*123 Hinrichtungen / „Pamiętnik kata Schwietza z Wrocławia  
i jego 123 egzekucje”/ W.S.*

# 100 LAT HORSTA POLLOKA

---

Peter Wiescholek

OSOBY:

HORST POLLOK

REPORTER

OPERATOR

HORST POLLOK:

A ta lampa to musi durch świecić?

REPORTER:

Tak, jest niezbędna przy filmowaniu. Ja wiem, że jest to trochę uciążliwe...

HORST POLLOK:

I jo mom yno ôzprawiać? Siedzieć na tym zeslu i ôzprawiać?

REPORTER:

Tak właśnie! O swoim długim życiu. Wszystko po kolei. Jak to kiedyś było. Wie Pan, jak sie to w śląskiej gwarze mówi „za starej pierwej”. Wszystko jak było. Możemy zaczynać?

HORST POLLOK:

A jak se czegoś niy spomna abo źle powiym?

REPORTER:

Ależ bez obaw! Nikt nie oczekuje od stulotka dokładnych szczegółów! Już samo to, że jest pan w tak dobrej formie to ewenement! To ciekawi i fascynuje naszych widzów...

HORST POLLOK:

No to zaczyna. Mianujom mie Horst Polok. Urodziołech ...

REPORTER *(do operatora kamery)*:

Stop! Proszę przerwać, panie Olku. Panie Polak, coś tu nie gra. Ja mam w skrypcie napisane, że pan sie nazywa Stanisław Polak!

HORST POLLOK:

Ja, Stanisław mi dali na drugie. Tak po prowdzie muter tak chcieli. Coby aby jedyn świnynty we mianie był. Bo fater niy umieli ji pedzieć czy był taki świnynty Horst a Horst...



REPORTER (*przerywa*):

Ale skąd pan wziął tego Horsta?

HORST POLLOK:

Tak mom we papiōrach napisane. Horst Stanislaus Pollok. Pollok mit dopyl el.

REPORTER:

W polskich papierach?

HORST POLLOK:

Niy. Jeszcze we nimieckich. Polska do nos prziszła jak mi roczek było. Chcieli mie na gminie przepisać ale fater niy dali!

REPORTER:

No, ale teraz nazywa sie pan przecież Stanisław Polak?

HORST POLLOK:

Ja. Od 52 roku. Przepisali nos na gminie. Ani fater ani jo ni mieli my nic do godki.

OPERATOR:

Panie Jarku, my możemy takie rzeczy później skorygować. Pan wie, czas nas goni...

REPORTER:

No dobrze, proszę dalej.

HORST POLLOK:

Urodziołech sie we roku 1921. Muter zawsze padali, że beztoż zech je taki nerwus. Ale tyż czas był pjeronym ciynżki! Muter byli na ôstatnich nogach a tu tela tego chacharstwa...

REPORTER (*dopowiada*):

Bojówki niemieckie!

HORST POLLOK:

Co?

REPORTER:

Mówię, że bojówki niemieckie dały sie wam we znaki!

HORST POLLOK:

Ja. I te i te. Niy wiadomo fto był gorszy. Poloki czy Niymce. Wszytkie byli po jednych piniondach! Fater sie do polityki niy miyszali, patrzeli z czego żyjom! Muter zawsze spominali, jak to fater wziyni gywera co jom jeszcze ze wojny przismyczyli i padali: „forgot Rita, zaszczela koźdego, fto mi na plac wlezie! Egal fto!”. Ale dziynka Bogu żodyn niy wloz...

REPORTER:

No i później zaczęły się nowe, polskie już czasy. Pana pokolenie było przecież pierwszym, które mogło w swym ojczystym języku nauki pobierać!

HORST POLLOK:

Ale kaj tam, yno po polsku! Te rehtory co przisзли z Polski niy chcieli naszymy godki ani suchać! Jo to jeszcze pół bydy ale miółzech w klasie kamratów, co yno po nimiecku poradzieli. Te niyroz szli do dom i ślimtali. A rzić aże czerwono! No ja, dobrze się też to zapamiyntali. I spomnieli się trocha niyskorzij, we trzydziestym dziewiöntym jak Nymce curik przisзли.

Jo też za tego Horsta swoje od rehtorów dostał! Ale potym, za Adolfa, jak Nymce zaś przisзли, wszystko się obróciło! Bo naroz dowiedzieli my się, że Horst to je nowy nimiecki świynty! Tyn od „di fane hoch”... Fater się śmioli i padali do mutry: Rita, patrz, doczekałaś się Świyntego Horsta!

REPORTER *(widocznie zdezorientowany przerywa)*:

Tak, tak... No, a jak się rodzinie powodziło w okresie międzywojennym?

HORST POLLOK:

Niy idzie pedzieć, nom to jeszcze niyzgorzij. Jak fater sztele na grubie stracyli to przeca óstalo jeszcze kōnsek zymy. To się jom dalij obsiywało. Gadzi-na jako się uchowało. Inksze byli gorzij dran! Beztōż źle się żyło, bo niyzgoda we norodzie była pjeronym srogo. Te przy biedaszybach we lesie, co robota stracili, przezywali na Polska i polnisze wirtszaft. Inksze zaś, co mieli sztele na poczcie abo przy banie, to się te polske porzōndki chwolili. Przeważnie te się chwolili, co przyndzyj za powstańców byli.

REPORTER:

A ilu było was w rodzinie?

HORST POLLOK:

Było nos trzech chopców i trzy dziolchy. Erwin i Ginter byli starsze ody mie. Luca, Rozalka i Hilda były młodsze. Byli jeszcze Richat i Herbet. Ale pomarli za bajtla. Muter sztyjc padali, że jak fater za Polski bez roboty óstali, to już yno się same dziolchy rodziły. Tak do śmiychu to padali. Że to niby chopców mamy Nymcow a dziolchy Polki...

REPORTER:

A potem przyszła wojna.

HORST POLLOK:

Ja, ta drugo. Bo piyrso była wcześnij.

REPORTER:

Panie Stanisławie, czy mieszkańcy bronili swej wsi przed niemieckim najeźdźcą?

HORST POLLOK:

Bronić to niy, ale tyż niy wszyscy wyleźli na droga Wehrmacht witać. Co było bronić, jak my do granicy mieli pora metrow? Niymsy przeleźli granica, wleźli rajn i już byli dryn. My sie yno dziwowali jak wiela z nich godo po naszymu!

REPORTER (*znów wydaje się zdezorientowany*):

Po niemiecku?

HORST POLLOK:

Kaj tam, przeca padom że po naszymu. Po niemiecku tyż umieli, to je klar! Ale dużo było wojoków ze wsiów po drugij stronie granicy beztóż poradzili tyż po naszymu... Mode synki, trocha starsze ody mie. Mom dali ôzprawiać jak to było bez wojna?

OPERATOR (*w głosie słychać rozbawienie*):

Panie Jarku, ja nie wiem czy to ma sens...

REPORTER:

Nie, nie... Oczywiście, panie Stanisławie. Proszę opowiadać dalej!

HORST POLLOK:

Fater do polityki sie niy mieszałi. Byli niemieckiego przekonanie, to było wiadome. Czytali yno niemieckie gazety, nawet se je kozali briftryjgerowi przynosić. My tyż wszystkie dzieci po niemiecku poradzili. Fater we żodnych Sokołach abo Harmoniach niy byli, żyli se przedsia. Mutter mianowali sie po ojcach Braun. Dostali my drugo kategorjo volkslisty. Fater drap dostali curik staro sztela na grubie. Ale już wcześnij Erwin...

REPORTER (*przerywa*):

Tak, nawet polski rząd na uchodźctwie zachęcał Góernoślązaków do przyjmowania volkslisty!

HORST POLLOK (*nie bardzo kojarzy, o co reporterowi chodzi*):

No ja, tego to jo już niy wiym. Jeszcze wcześnij Erwin dostał na stowka. Na samym początku czterdziestego roku. I posłali go do Francje. No i we tyj Francycji pod... Jeszcze nom zdonżył postkarta ze Paryża posłać. I brif kaj byli dwa bilty dryn. A potym zaro prziszoł Skupnik ze gemajnderatu cuzamyń ze farorzym. Fater im otwarli, błady jak śmiertka... Przinyśli urzyn-dowe pismo, co Erwin pod za firera i faterland. Erwin był nojwyzgiernijjszy

z nos wszystkich. A pod tak wczas. Partyzanty go zastrzelili. Tak nom napi-  
soł od niego komynant we brifie. Tyn brif prziszoł niyskorzij.

REPORTER:

Francuscy partyzanci? Czy w ogóle byli tacy? Z tego co wiem, to Francuzi  
się szybko poddali a potem kolaborowali z faszystami. Tam nie było takiej  
partyzantki jak tu. To znaczy jak w Polsce... Czyli tu...

OPERATOR *(ze śmiechem)*:

Widzę ze się pan gubi, panie Jarku...

REPORTER *(z naganą w głosie)*:

Panie Olku! Proszę kontynuować, panie Stanisławie!

HORST POLLOK *(zamyślony, jakby ich nie słyszał)*:

Ja, zdało się, że muter tego niy przeżyjom... Oni za Erwinym świata niy wi-  
dzieli... I żyć się mioł. Zaro po somsiedzku. Ze Gizelom od Krupów. Tyż  
już downo niy żyje. Ale poszukała se synka dopiyo blank niyskorzij, dugo  
po wojnie... Tako była za Erwinym! Ja, Erwin to był richtig fajnisty karlus...

REPORTER *(patrzy co chwila do skryptu)*:

A później także pan musiał przywdziać znienawidzony mundur!

HORST POLLOK:

Tyn od Wehrmachtu?

REPORTER:

Tak, oczywiście.

HORST POLLOK:

Ja, stawioł żech sie frajwilig!

REPORTER:

Pan wybaczy, panie Stanisławie! Co pan zrobił?

OPERATOR *(podpowiada)*:

Poszedł na ochotnika!

REPORTER *(wstrząśnięty)*:

Na ochotnika? Do niemieckiej armii?

HORST POLLOK:

Ja, skuli Erwina żech to zrobioł! Tak żech se ftedy myśłoł, byłech mody  
i gupi... Ftedy Ginter tyż już był przy wojsku. Jak były terminy na gminie to  
żech tam poszoł i podpisoł. Coby Erwina pomścić!

*Reporter (milczy).*

HORST POLLOK:

Jakżech prziszło nazod do dom to padołech fatrowi, że żech sie frajwilig stawioł. Fater byli nimieckigo przekonanio. Myślōłech, co mie pochwołom. Że bydom w zocy. Ale fater nic niy pedzieli, yno jak mie piżli w papla to mi sie na drugo strona obrōciyła! Potym chycili mie za kragiel i cicho padali: „Ty gupieloku pjeronowy. Chcesz muter we trule ogłondac?!”

REPORTER:

No i co potem? Co na to matka?

HORST POLLOK:

Mutry niy było w doma. Fater padali yno „warte hir auf mich” i poszli do szlafszuby. Wyleżli trocha niyskorziz obleczony we nojlepsze oblycze! Ancug i biolo koszula. Jak we hochcajt abo jakieś srogie śwynto. Na drugim kneflu od gōry mieli powieszony ajzyrners krojc, co to go na wojnie dostali. We rynkach wojskowe bilty Erwina i Gintra i jakies papiōry. „Kom mit” pedzieli yno... I poszli my na gmina.

REPORTER (*zaciekawiony*):

Ale po co?

HORST POLLOK:

Tyż żech niy wiedzioł. Na gminie durch jeszcze siedzioł tyn taki stary lojtnant, co extra przijechoł stowka odbiyrać. Fater sie zameldowali u niego i wlezi do szuby. Jo czekoł drausyn. Dugo to trwało. Na koniec wyloz tyn lojtnant i mi pado „Junge, du bist voljerich, nechste mal...”

REPORTER (*przerywa*):

Nie, nie... Powiedzcie po polsku co wam ten Niemiec powiedział!

HORST POLLOK:

Padoł, że mom swoje lata i żech je za mie samego odpowiedzialny. I że yno do mojego fatra to robi. Bo mo szacunek do starego, nimieckigo wojoka! Potym doł fatrowi rynku i poszli my do dom. Przed samym domym fater mi padali cobyh mutrze ani słowa o tym wszystkim niy pedzioł...

REPORTER:

Czyli nie musieliście isc do wojska?

HORST POLLOK:

Niy. Dopiyro we 1944, jak już sie Adolfowi pod rziciom polilo i wszystkich brali.

REPORTER:

To ci historia... Aż sie wierzyć nie chce...

HORST POLLOK (*trochę urażony*):

Padom jak było...

REPORTER (*z zastanowieniem*):

Panie Olku, stop! Panie Stanisławie, decyzja należy do pana. Jak pan chce możemy w filmie ten fragment o ochotniczej kolaboracji z okupantem pominąć! Powiem tylko tyle, że nie stawia on pana w dobrym świetle... Pan rozumie, nasi widzowie mogą być zaszokowani pana wyznaniem.

HORST POLLOK:

Ja, ale ja chca richtig prowda padać, jak było! Jo ni ma z tego w zocy, co to to niy! Ale tera już moga prowda pedzieć... Roz że żech je stary, a dwa że czasy sie zmiyniyl i idzie już prowda godać.

REPORTER (*z ociąganiem*):

Tak, tak... No więc proszę kontynuować.

HORST POLLOK:

Potym pod Stalingradym pod Ginter. We tym dniu jak prziniyśli nom o tym wiadomość muter sie stracili. Znodli my jom dwa dni niyskorzij we Grauwałdzie.

REPORTER:

Gdzie?

OPERATOR:

W lesie za wsią.

HORST POLLOK:

Ja. Znod jom feszter. Muter dostali na gowa. Dochter padoł, że to było za dużo do nij. Już nigdy tak richtig niy prziszła do sia... Trzymali jom we Lublińcu. Nikiedy puszczeni do dom ale nic to niy dało. Już niy prziszła do sia... Repoprter: A pan gdzie został ranny, panie Stanisławie?

HORST POLLOK:

Kajś tam zaro za Warszawom. We lato sztyrdziyści sztyry. Wiela żech sie niy nawojowoł... Granata mi noga urwała.

REPORTER:

Panie Stanisławie! W wielu relacjach pojawia się obraz górnośląskich rekrutów śpiewających polskie pieśni, czy to kościelne czy też patriotyczne. Czy i w pana przypadku było podobnie?

HORST POLLOK (*w osłupieniu*):

Karlusie złoty, kaj nom było do śpiywanio??? Strachu my mieli połno rzić! Nojpiyrw nos zawiyzli cugiem do Austryje! Tam my byli na szkolyniu. Niy wiym kaj był rozum nos tak daleko smyczyć jak już za trzy tydzie zaś

wsadzili nos do cuga. Przyszło byfyl „na front”! Starsze kamraty durch sie spiyrali co je gorsze: Ostfront abo Jugosławia? Jeszcze dzisiaj słysza ta godka „Liber Got, coby yno niy do Jugosławie”... ôsprawiali o strasznych rzeczach, co partyzanty ôd Tity tam wyrobiali... Potym my sie kapli, że jadymy durch na wschod.

REPORTER:

I kiedy wziął pan udział w pierwszej bitwie?

HORST POLLOK:

Wcale zech niy wzion udziału. Ani roz zech z gywery niy wyszczeli! Tela co na ibungplacu we tyj Austryje...

REPORTER:

No, ale granat, stracona noga?

HORST POLLOK:

Kajś w lesie za Warszawom partyzanty szpryngli glajzy i cug sie wykolejoł. My wszyscy wylecieli i kryli sie po lesie, bo szczylali do nos i ciepali granaty. Reporter (wyraźnie podniecony): Tak, mówiłem, polscy partyzanci!

HORST POLLOK:

Ja. Potym szpryngła po blisku granata i wiyncyj nic niy spomna! Obudziłech sie we lazarecie we Warszawie. Dochtor mi padoł, że musieli mi prawo noga odjonć ale i tak zech miał pjeronowy glik! Gynał tak padoł: „pjeronowy”, bo był ze Ratibor i poradzioł po naszymu...

REPORTER:

No, a później?

HORST POLLOK:

Byłech ze dwa miesionce we sanatorium we Zakopanym i posłali mie do dom... I tak niy mogli mie tam dużyj trzimać, bo już Rusy szli i Nymce musieli poleku cały gyszeft zwijać i sie brać... Tela miołech szczynścio, że jeszcze zech ta drzewnianio noga dosto! Ale niy ta sama, co tera mom. Ta je aluminiowo. Zrobili mi jom na miara w Nymcach, we 88 roku jak zech tam ôstatni roz we sanatorium do wojoków był. Tak se niyroz myśla, zech miał pjeronym wielki glik w życiu! Nawet ftedy jak Rusy wleźli.

REPORTER:

No właśnie, panie Stanisławie! Proszę opowiedzieć o tych wydarzeniach!

HORST POLLOK:

No ja, dużo do ôsprawiano niy mom. Siedzieli my we szlafsztubie, wszyscy wela nos w chałpie było. Rusy wiedzieli, co tu jeszcze była Polska bo przeca granica stoła dopiyo przy potoku, zaro za wsiom. Szło jom nawet ôd

nos widzieć. W nocy tam tak gorzało aże całe niebo było czerwone! A u nos w doma pora dni Rusy siedzieli. Oficery. Dom był srogi, beztóż go wybrali. Dziołchy musiały im warzić, bo muter nie byli we sztandzie. Rusy narobili bajzlu w całyj chałpie. Ale że oficery, to nawet niy nakradli wiela. I dziołchom dali pokōj. Mieli my pjeronowe szczynście. Te oficery trzymali dyscyplina. Ale jak padom, zaro za granicom dzioły sie straszne rzeczy...

OPERATOR:

Panie Jarku, myślę że mamy dość materiału. Pan wie, następny termin!

HORST POLLOK:

Jo by jeszcze chcioł pedzieć, że fatra do Rusōw wywiyźli. Ale te oficery niy mieli z tym nic spolnego, ōni yno nikiedy, tak do wicōw, pytali sie mie i fatra: „Wy germańcy?”. I śmioli sie jak my oba z fatrym padali: „niet, niet”! Potym, jak zaś niby była polsko władza, to skuli niyzgody we norodzie somsiad na somsiada skarżył! Ludzie wiedzieli, co fater byli nimieckiego przekonanio. Ale wywiyźli go niy skuli tego. Poszło o ziymia, o staro niyzgoda. Nawet wiym, fto to zrobiōł... Przisзли i wziyni fatra. Już my go wiyncyj niy widzieli. Tela dobrze, że nom gospodarka ōstawili.

REPORTER:

Panie Stanisławie, będziemy już kończyć. Czy chciałby pan coś naszym widzom, tak od siebie, powiedzieć?

HORST POLLOK:

Ja. Trzeba być zadowolonym z tego, co sie mo, bo zawsze może być gorzij. Dwadziscia dwa lot mi było jak zech kalykom ōstoł. Oba braty we wojnie padli. Muter dostali na gowa. Fatra do Rusyji wywiyźli. Ale jo chcioł dalej żyć. Miołech glik i dostołech sztela na werku na wachtyrzowni. Siedzioł zech we ōkiynku. Wiela zech niy zarobioł ale miołech sztela na zicher! Przez te wszystkie lata. Znōdłech dobro baba, co mie, kalyki, chciała. Dowiedzioł zech sie, co mi sie rynta z Niymiec za Wehrmacht należy. Złōżyłech papiōry. Ludzie padali: „Horst, dej se pozōr, bo Polokom tako rynta śmierzdi!”. Ale mie było jedno. Rynta można im śmierzdiała ale dojczmarki niy! Beztoż jom kasowali i placili mi po państwowym kursie. Pjeronowe cygaństwo ale egal. Zaś mogłech cosik tam uszporowac. Do mie i do moji baby. Coby wiedziała, że nawet ze kalykom może se życio użyć... I mogła zy mnom co sztyry lata do Niymiec do sanatorium jeździć. Yno dzieciōw sie my niy doczekali...

REPORTER *(przerzywa, trochę już zniecierpliwiony)*:

Bardzo dziękujemy, panie Stanisławie. Życzymy jeszcze wiele lat zdrowia i pomyślności!



HORST POLLOK:

I prosza mie poinformować jak tyn film we telewizorze puścicie! I niy czek-ejcie za dugo bo jo już mom swoje lata a chciołbych doczekać! Ale mysla, że to szafna. Do terozki miolech durch glik we cołkim życiu. Szkoda że Lynka tego niy doczekała... Wiym co by padała: „Horszti, isz bin sztolc auf disz!”

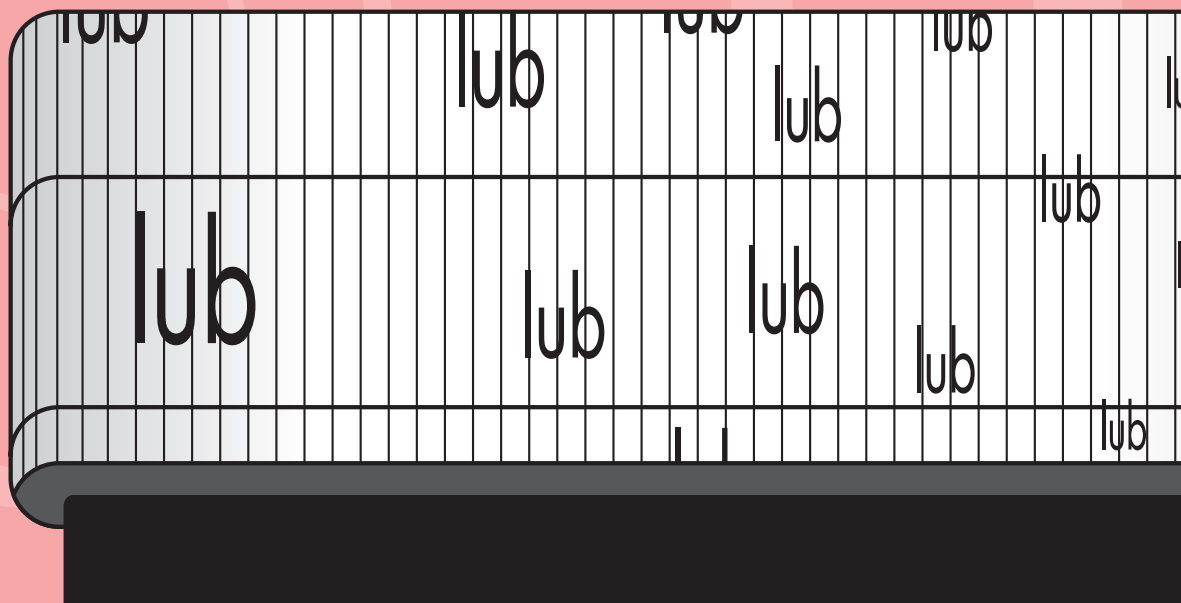
REPORTER (*z niedowierzaniem*):

To ona była Niemką?

HORST POLLOK:

Som już niy wiym. Kalyki żodno niy chciała. A Lynka to była po wojnie tyż jak kalyka. Można i była Niymkom. Do nos była nasza.

# POŚŁUCHAJ OBEJRZYJ DOZNAJ



KATOWICE  
*Miasto Ogrodów*  
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

**miasto-ogrodow.eu**  
**facebook.com/2016katowice**

WYDAWCY:

**iM!GO**  
PUBLIC RELATIONS



**KATOWICE**  
*dla odmiany*

PATRONAT MEDIALNY

**GAZETA**  
**wyborcza**

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY • ISBN 978-83-953626-4-4

